Nr. 28 (1281). Warszawa, 22 (9) Lipca 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Prusy górą.

Dzień 8-my b. m. będzie pamiętnym w dziejach dyplomacyi francuskiej. Tego dnia minister, kierujący polityką zagraniczną Francyi, podpisał akt poddania się pod wolę niemiecką, a ta jego uległość donioślejszą jeszcze się staje przez zatwierdzenie, jakie czynowi jego dał sejm francuski we dwa dni później. Gdy się czyta te dwie noty jednostronne i ten dwustronny protokół, odwołanie z Fezu posłów nadzwyczajnych, które wszystkie razem noszą na sobie podpisy Rouviera i Radolina, nie można, niepodobna stłumić w sobie myśli, że Niemcy postawiły na swojem; a gdy się potem jeszcze uwzględni małość przedmiotu spornego, wyraźnie przez Niemcy wskazywanego podczas sporu, interesa handlu z Marokkiem — w sumie rocznego dowozu i wywozu nieprzenoszące ośmiu milionów franków — trudno będzie opędzić się domniemaniu, że istotnym bodźcem energii cesarza Wilhelma, który sam szopkę całą wystawił i Bülowem jakby kukłą jasełkową kierował, był nie interes handlowy, ale interes rdzennie polityczny: nie pozwolić Anglii i Francyi na supremacyę na m. Śródziemnem a samemu sięgnąć po supremacyę dyplomatyczną w Europie.

Dwie wyżej wspomniane noty mają treść zupełnie jednakową, a różnią się tylko pochodzeniem swojem i zależną od tego pochodzenia formą zobowiązania: najpierw zaciąga je p. Rouvier, potem ze swej znowu strony p. Radolin. W pierwszem zobowiązaniu głównym jego przedmiotem jest przyjęcie konferencyj, narzuconych przez Prusy, w drugiem — uznanie warunków, pod jakiemi Francya narzucić je sobie pozwala. W treści obie noty są identyczne: p. Radolin, wywzajemniając się p. Rouvierowi, przepisuje wprost jego notę. Zyskiem Francyi w stosunku do pierwotnego rozmachu cesarza Wilhelma, dostatecznie scharakteryzowanego przez odwiedziny w Tangerze, są owe warunki; zyskiem bezwzględnym Prus jest samo zgodzenie się Francyi na wspólne z niemi załatwienie sprawy, przedtem już ostatecznie i bez żadnych narad bądź ich samych, bądź innych mocarstw europejskich rozstrzygniętej w układach i umowach z Anglią i z Hiszpanią. To, co Francya daje od siebie, ma bez porównania większą wagę, od tego, co jej przyznają Prusy. Zgadzając się na konferencyę europejską, tem samem zrzeka się Francya nietylko umów swoich osobnych z obu powyższemi państwami, ale przestaje uważać za wyłącznie swoje te interesa, które dotychczas dla samych Prus nie miały charakteru ogólnie europejskiego.

Owe warunki, które Francya zyskuje dla łagodniejszego przejścia pod jarzmem, określają już i samo jarzmo. Dosłownie wypisane z not jednostronnych obu dyplomatów z d. 8 lipca opiewają: Rząd niemiecki nie będzie na konferencyi dążył do celów przeciwnych wspomnianym interesom Francyi w Marokku lub sprzecznych z prawami wypływającemi z zawartych przez nią traktatów i umów. Wygląda to na poddanie się woli niemieckiej pod francuską; ale zaraz przychodzi cały regestr zastrzeżeń, określających *prawowitość* tych praw, aby rozwiać chwilowe złudzenie. Dobrem prawem Francyi w Marokku z woli niemieckiej będzie na przyszłość tylko takie, które: 1) nie wzruszy samoistności i niepodległości szeryfatu marokańskiego; 2) nie uszczupli jego terytoryum; 3) uszanuje swobodę ekonomiczno-handlową wewnątrz Marokka, jednakową dla wszystkich państw obcych; 4) dążyć będzie do wprowadzenia niezbędnych przekształceń policyjnych i skarbowych (głównie opłaty od handlu) tylko na mocy postanowień międzynarodowych. Na wszystkich tych czterech punktach Francya wyparta; miejsce jej zajmuje Europa, a w niej innych łokciami rozpierająca monarchia pruska.

Gdyby nawet w tem, co się stało, nie było wcale zgodzenia się Francyi na wspólne ogólnie-europejskie rządy tam, gdzie dotychczas jej wola, sprzymierzona z angielską i hiszpańską, była rozstrzygającą, to i tak jeszcze powyższe cztery punkta wystarczyłyby do wytłoczenia właściwego piętna na zawartej d. 8 b. m. umowie. Dokazała polityka niemiecka tego, że Marokko z pod zamierzonego protektoratu Francyi dostaje się pod protektorat całej Europy. Polityka otwartych wrot, bram, czy drzwi, zastosowana w r. 1885 w Afryce, przeprowadzona w r. 1895 i 1900 na Dalekim Wschodzie, czyhająca tylko na chwilę i układ odpowiedni stosunków, aby się tam znowu powtórzyć w r. 1905 i 6,—ta polityka przebija się teraz na wierzch po przez wszystkie zamysły i interesa Francyi i staje się zasadą twórczą dla przyszłości względem Marokka. Jeżeli rozbijać to już razem. Jedyną dyplomatyczną korzyścią Francyi jest stanowiące punkt piąty owych warunków, przyznanie przez Prusy, że mocarstwo to z powodu swego sąsiadowania z Marokkiem, znajduje się w położeniu specyalnem i do niego też będzie mogło stosować swe postępowanie na pograniczach. Zresztą jest tylko klęska, może ją polityka powetować, ale ją już teraz dyplomacya poniosła i żadne sofizmata osłonić jej, zakleić, zaklajstrować nie zdołają. Czy Francya przelękła się Prus, czy umysłowość polityczna Francyi rozwija się w kierunku wrogim wszelkim wojnom tak szybko, że już roz-

wój ten w tej chwili przynosi dojrzałe owoce? Czy nakoniec milcząca Anglia odmówiła poparcia? W każdym razie na dziś Prusy górą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na miejsce posła w Rzymie, Murawjewa, pełnomocnikiem Rosyi na układy o pokój został prezes komitetu ministrów Witte. W całej Europie i w Japonii zmiana ta sprawiła dobre wrażenie. Dla Japończyków zwłaszcza, z których przedstawicielem p. Murawjew na konferencyi w Haadze obszedł się był tak ostro, usunięcie go z drogi stanowiło nawet konieczność narzuconą przez uczucie własnej godności; nie liczyła się z tem uczuciem pierwotna nominacya. Osoba p. Wittego, o którym „Temps" pisze, że trzy razy już wydobył Rosyę z ciężkiego położenia, daje rękojmię poważnego działania. Jest to jeden z nielicznych wierzchołków urzędowych w Rosyi, wzbijających się nad niziny zdolnościami i rozumem. P. Witte dobiera sobie do pomocy jednego z urzędników ministeryum spraw zagranicznych, dobrą głowę i dobrze mówiącego po angielsku, sam mówi słabo. Pełnomocnik zastrzegł dla siebie prawo bezpośredniego porozumienia się poza plecami ministrów — i stołonaczelników, o których to jeszcze cesarz Mikołaj I powiedział trafne słowo, że oni-to rządzą Rosyą. Nominacya p. Wittego nie znaczy jeszcze powalenia fakcyi wojennej, która jest i liczna i w oporze zaciekła. Ostatecznie pokój zależy nie od rozumu i zręczności pełnomocnika, ale od utrzymania się nadal tej fakcyi, lekceważącej interesa narodowe w państwie dla własnego wpływu, znaczenia i pychy.

Cesarz Wilhelm d. 10 przed południem odpłynął ze Swinemünde w górę na Bałtyk; po raz pierwszy wycieczkę swą letnią kieruje na wody szwedzkie. Nie mógł sobie przed podróżą odmówić przyjemności arcykapłańskiej i na pokładzie „Hohenzollorna" odprawił nabożeństwo. Z całym też zapałem powitał przed samym odjazdem przybyłego dla doniesienia o zwycięztwie nad Francyą p. Bülowa: kazał wystąpić pod bronią całej załodze, sam stanął na jej czele, sam trzykrotnie zawołał „Hurrah" i paradę tę zakończył uściśnieniem monarszem—wyższym chyba od najwyższego orderu zaszczytem. Z królem Oskarem zobaczył się dnia 14 b. m. w Geffle na pomorzu szwedzkiem.

Z powodu rocznicy rewolucyi p. Loubet wydał amnestyę dla skazanych politycznie, pom. in. dla Deroulède'a i Buffeta, bez powrócenia jednak praw obywatelskich, państwowych. Deroulede z Hiszpanii nie wraca do Francyi, osiedla się w Wiedniu; Buffet odrzucił łaskę w liście tak grubiańskim, że urząd telegraficzny odmówił jego przyjęcia: czyta się ten dokument, jak majaczenie waryata.

Urzędowe odroczenie rady państwa do jesieni ukazało się w „Wiener Ztg." d. 15 b. m.

Węgrzy zalewają potokami swego atramentu i własne swoje i zagraniczne dzienniki; głównie występują Apponyi, Andrassy i Tisza. Na radzie koalicyi postanowiono popierać cichą rewolucyę przez odmawianie podatków i popisowych.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Odruch ochronny

Tylko z pewnego stanowiska można ocenić, która z gór w grupie jest wyższa od innych, chociażby je przerastała o setki metrów. A są takie punkty, z których ona wydaje się nawet najniższą. Podobnie ze wszystkimi przedmiotami obserwacyi człowieka: wielka mądrość życia polega na właściwem oznaczaniu wartości ludzi i rzeczy. Uznać kołek za kołek — to nie tak łatwo i nie zdarza się tak często, jak by należało przypuszczać. Nieraz kołek uważany jest za kukurydzę, a nieraz znowu za — akademię. Historya bywa zwykle łańcuchem sprostowań opinii współczesnej o wypadkach bieżących. Pomyłki wszakże zaczynają nam się rysować lekkim konturem już przy małem oddaleniu od faktów, które zblizka nie ukazały nam wyraźnie swoich wymiarów. Dzieje się to w szerokiej mierze dzisiaj, kiedy zdarzenia tłoczą się tak raptownie i tak wielką masą, że pozostawiają zaledwie drobne chwile czasu do zastanowienia się nad niemi.

Śród katastrof wojny, śród olbrzymich bezroboci i ruchów ludowych czy może wystrzelić w górę szczytem rozbijanie domów nierządu lub tępienie złoczyńców? Zdaje się na pozór, że to takie mizerne, takie niegodne dłuższej uwagi, takie ordynarne! A jednakże gdy ten objaw zbadamy bliżej, pomimo swej formy dzikiej zadziwi on nas swoją wyniosłością. Bo pomyślmy — co to jest? W społeczeństwie prawnem, zaopatrzonem w organy bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości, nienawykłem wogóle do samodzielnego regulowania swych stosunków wewnętrznych, powstaje nagle jak gdyby szereg sądów polubownych, które bez dochodzeń, tylko na podstawie zapamiętanych krzywd i zgrozy ogłaszają i natychmiast wykonywają wyroki zagłady na znienawidzonych gatunkach ludzkich. Czy kto słyszał o podobnem zjawisku? To nie *lynch* amerykański, nie *vendetta* włoska, nie akt pomsty ograniczony do pewnych wypadków i jednostek, to jakiś bezwiedny odruch instynktu społecznego. Przeorzcie kijem mrowisko: natychmiast zaroją się i ze wszystkich stron pospieszą mrówki dla wyrównania bruzdy. Gdy ciało nasze zostanie skaleczone, dla zagojenia rany cały organizm uruchomia swoje siły żywotne. Tak samo w ustroju społecznym. Ilość przestępstw utrzymuje się w dość stałym stosunku względem kultury. Tymczasem u nas ten stosunek przybrał wprost potworną postać. Naród bowiem, stojący na tym poziomie cywilizacyjnym, co nasz, nie powinien mieć tylu zbrodni. Zwłaszcza kradzieże stały się powszechną epidemią, normalnym i niemal uznanym warunkiem życia i pracy, rubryką przezornego budżetu. Każdy rolnik każdy przemysłowiec, każdy kupiec wie, że tak, jak żonie musi oddać pewną sumę ciepła, tak złodziejom musi oddać pewną część swego mienia. Niema w Europie równorzędnego kulturalnie kraju, gdzieby grabież i rozboje były tak częste, tak zuchwałe, tak bezkarne i tak niewykrywane, gdzieby rabusie wszystkim znani grasowali jawnie i bezpiecznie. Zwłaszcza po wsiach, na 100 kradzieży nawet jedna nie jest wyśledzona, a większość nie bywa meldowana. Bo po co?

Gdybyśmy zapytali świadomości społeczeństwa, jak mu radzi wytępić to zło, nie znalazłaby w obecnem położeniu przeciw niemu skutecznego środka. Ale pod długim wpływem dręczącej zmory instynkt organizacyi spółczesnej ciągle czuje, że ona z taką chorobą długo istnieć nie może i musi uratować się jakimś nagłym ruchem obronym, który ma odrazu i brutalnie uczynić to, co powoli i gładko robi należycie działająca maszyna prawno-obyczajowa. Nie zachwyca nas obraz gromady chłopów,

M. Gorkij.

ZEGAR.

I.

Tik-tak, tik-tak!

W ciszy i samotności nocy lękiem zdejmuje niewzruszona wymowa wahadła: jednostajne i matematycznie regularne, niezmiennie zaznaczając wiecznie jedno i to samo—nieustający ruch życia. Sen i ciemność ogarniają ziemię, wszystko milczy,— tylko zegar zimno i głośno odmierza mijające na wieki chwile... Wahadło stuka, i z każdem uderzeniem skraca się życie o sekundę, o maleńką drobinę czasu, danego każdemu z nas, o sekundę, która nigdy już do nas nie powróci. Skąd zjawiają się sekundy i w jakiej giną otchłani? Nikt nie odpowiada na to... I wiele jest jeszcze takich pytań, na które nie dano dotąd odpowiedzi; są inne, ważniejsze pytania, od których rozwiązania zależy szczęście nasze. Jak żyć, aby mieć świadomość, że się jest potrzebnym na świecie? jak żyć, nie tracąc wiary i pragnień? jak żyć, aby ani jedna sekunda nie ginęła bez śladu dla serca i ducha? Czy odpowie kiedy na to wszystko zegar, którego ruch jest nieskończony, — co powie na to wszystko zegar?

II.

Tik-tak, tik-tak!

Niema na świecie nic obojętniejszego nad zegar: z jednaką niewzruszoną obojętnością wydzwania on chwile naszych narodzin i te chwile, w których chciwie zrywamy kwiaty młodzieńczych naszych marzeń. Od swoich narodzin staje się człowiek z dniem każdym bliższym śmierci. A gdy chrapliwy oddech rozdzierać będzie pierś twoją w walce przedśmiertnej, zegar będzie sucho i spokojnie obliczał jej sekundy. W jego zimnem sumowaniu—wsłuchaj się uważnie — dźwięczy coś wszechwiedzącego i znużonego tą wszechwiedzą. Nic nigdy go nie wzrusza, nic nie jest mu drogiem. Niezmienna cechuje go obojętność; my więc, jeśli żyć chcemy, stworzyć sobie musimy inny, pełen wrażeń i myśli, pełen czynu, taki, który mógłby zastąpić ten nudny, jednostajny, zabijający nudę ducha, zimno i z wiecznym wyrzutem wydzwaniający chwile zegar.

III.

Tik-tak, tik-tak!

W nieustannym ruchu zegara niema punktu nieruchomego — cóż więc nazywamy teraźniejszością? Bezpośrednio po jednej zrodzonej sekundzie rodzi się druga i straca pierwszą w otchłań zapomnienia...

Tik-tak! Czujesz się szczęśliwym. Tik-tak! W serce twoje wżera się paląca trucizna smutku, i smutek ten może pozostać z tobą na całe życie, na wszystkie godziny danego ci czasu, jeśli nie postarasz się o zapełnienie każdej sekundy twojego życia czemś nowem i żywem. Cierpienie kusi; niebezpieczny to przywilej: posiadłszy go, nie szukamy już zazwyczaj innego, wyższego prawa na dostojeństwo człowieka. A tak go wiele, tego cierpienia, że stało się ono taniem i niemal przestało już ściągać na siebie uwagę ludzi. Dla tego też czy warto taką przywiązywać wagę do cierpienia?—czy nie należy raczej wypełniać życia swego czemś oryginalniejszem, cenniej-

którzy od wielu lat nękani przez złodziejów, jednego dnia wyławiają ich i zatłukują kijami. Ale w tem okrucieństwie oprócz wyczerpania cierpliwości i osobistego odwetu widzieć należy również rwący wszelkie wędzidła gniew obywatela kraju, członka gminy społecznej, który w ten sposób chce zatamować zło i zetrzeć hańbę. W takich bowiem pogromach uczestniczą często jednostki wcale niezainteresowane krzywdą własną, odczuwające tylko powszechną.

Czy mamy sobie życzyć, ażeby wzburzona zgroza porządkowała nasze życie zbiorowe? Rozumie się nie. Ale z drugiej strony przyznać trzeba, że dopóki społeczeństwo nasze będzie niedość strzeżonym lasem, w którym każdy śmiały złoczyńca rąbie bezkarnie, co mu się podoba, dopóty ono musi podlegać wybuchom instynktu samozachowawczego, ratującego je od stoczenia przez robactwo.

Go—on.

IRONIA CHWILI.

W okresie pełnym wrzawy, hałasu, krzyku, coraz częściej wybucha wielkie pragnienie spoczynku, chwili jasnej ciszy, pragnienie uwolnienia się od naprężenia nerwów, naprężenia uczucia i myśli. Jest to oznaką choroby, oznaką wyczerpania i niemocy. Zdrowe piersi wśród walki nabierają nowej siły, rodzi się w nich—pragnienie dotarcia, tryumfu. A tu ciągle wśród drogi słychać szelest skrzydeł kruków, kraczących o potrzebie wypoczynku i wyczerpaniu sił. Zmory nas trapią, zmory niewidzialne, niedostrzegalne; odbierają one nam siły, gaszą zapał, rodzą zwątpienie, rozdrabniają nasze dusze na marne pyłki, każąc im pełzać i czołgać się. Zmory te, to dziedzictwo wzięte po ojcach naszych i dlatego fałszywi prorocy uczą, że są to świętości i relikwie. Zmory te to choroba naszych mózgów i serc, to widomy znak znędznienia i skarlenia.

Nie pragnę malować obecnie psychiki naszej, nie pragnę kreślić ogólnego zarysu jej cech przewodnich, chcę tylko wskazać łączną przyczynę zmór, które trapią nasze życie intelektualne.

Nie powstały one dziś, ani wczoraj. Źródłem ich—połączenie przyczyn zewnętrznych z wewnętrznemi. Na przerażeniu, obumarciu z bólu i trwogi kształtowało się pokolenie, które zapragnęło powiedzieć sobie: inaczej żyć będziemy. Tylko że hasło to nie było zwrócone przeciw temu, co w życiu duchowem z biegiem czasu zczerstwiało i stało się — starem, zgniłem, lecz przeciw temu, co podług wiary tych ludzi było nad ich siły. Kto nie wierzy w swe siły, ten ich nie ma. Skoro życie przyjęło nowe formy upragnione, skoro kierunek jego rozwoju spełnił założenie myślowe danego okresu, zemściła się ta wiara nad swymi wyznawcami. Głód uczuciowy przemógł, sztuczne przeszkody prysnęły. Powstały nowe prądy, które powróciły duszy ludzkiej jednolitość utraconą. I oto na granicy dwóch światopoglądów, z których młodszy, choć był konsekwentnym wynikiem starszego, na wielu punktach stanął na przeciwnym wprost jemu stanowisku. Na granicy tej powstała dziwaczna ideologia, mieszanina niedopasowanych cząstek, skutek bezkrytycznego, uczuciowego łączenia przeróżnych resztek przeszłości z dość ciasno pojmowanymi interesami chwili.

Ta to właśnie ideologia jest źródłem zmór, które nas prześladują, które krzywią drogi nasze, zastawiają je sztucznemi przegrodami, czyniąc atmosferę ciasna i duszną. Ideologia ta to nasza — nędza duchowa. Nie po raz pierwszy ta klęska intelektualna zwraca na siebie uwagę. Mówione o niej sporo; nieraz wskazywano ją, jako powód zastoju i apatyi. Istota jej wyraża się w automatycznem powtarzaniu pewnych, wyblakłych haseł bez uczuciowej łączności z ich treścią. Hasła te posiadały kiedyś głębokie znaczenie, lecz dzisiejsi ich wyznawcy używają ich, jak owe modlitwy nawinięte na walce, które w pagodach pobożni obracają machinalnie. Pozostają one w jaskrawej sprzeczności z całem życiem tych ludzi, stawiają wymagania etyczne, które są sprzeczne z tem, czem oddychają nawet dzisiejsi czciciele dawnych relikwij; a jednak w każdej chwili ważniejszej nad naszemi głowami powiewa łachman przeszłości. Nadużywanie jej uroku jest monopolem pewnej garstki, szalbiersko i świadomie dekorującej małowniczym płaszczem nikłe swe postacie. Jako połączenie wyniku potrzeb „ideowych" mieszczaństwa z dogmatami demokratycznej szlachetczyzny ideologia ta jest dziwactwem, uderzającem mamutową zaściankowością i zszarzałym anachronizmem treści. Zowią ją patryotyzmem, narodowością i t. d. i tembardziej jeszcze gmatwają.

Patryotyzm, to uczucie żywego przywiązania do żyjącego organizmu społecznego, jest ukochaniem jego potrzeb kulturalnych, jego najgłębszych sił życiowych, jego treści duchowej. Cóż z nim ma wspólnego odświętne wywieszanie pewnych świecidełek, pewnych kerezyjek, któremi się otumania sentymentalne panieneczki i zadowolonych z dobrego odżywiania się jegomościów?— Rzeczywistość odniosła dziś nad tym pseudo-patryotyzmem tragicznie straszny tryumf. Skoro życie zażądało przystąpienia do ziszczenia „ideologij" wielcy „patryoci" zaczęli od tego, że porzucili dawne „mrzonki" i „na dziś" postawili skromne postulaty, jako ludzie, pojmujący politykę międzynarodową i trudności dyplomatyczne.

Oby to bankructwo starej treści otrzeźwiło umysły, oby wykazało im niezbędność zarzucenia haseł przeszłości i potrzebę utworzenia nowych, opartych na głębokiem zrozumieniu i serdecznem odczuciu tętna milionów.

Bezwątpienia powszechna niemoc, przydługie przebywanie w dusznej atmosferze wytworzyły to lękliwe trzymanie się utartych podpórek „ideowych", lecz to nie wyczerpuje kwestyi. Do dnia dzisiejszego hasła te wskazywały jakąś abstrakcyę w obłokach, były zwrócone w przeszłość, a nie w przyszłość. Dotychczas tylko w zjawiskach gospodarstwa indywidualnego przeszliśmy do nowego porządku rzeczy, porzuciliśmy przestarzałe formy i przyjęli ustrój kapitalistyczny—rozwoj przemysłu i handlu w rękach jednostek. Co do innych stron życia, to choć nowe warunki gospodarcze wysnuły z siebie całość przeróżnych nawarstwień ideologicznych, jednak tak silnie trzymaliśmy się dawnych chorągwi, że nie spostrzegliśmy, jak one „przewartościowały się" i swem imieniem uświęciły nowe „konsekwencye". Z tą mieszaniną było nam mile i wygodnie. Że się narodziła myśl nowa, wsiąkła w ziemię i dotknęła podstawowych korzeni narodu, to nie miała żadnego wpływu na nastrój ogólny.

Dziś dla wszystkich, którzy żyć pragną, stało się koniecznością oparcie się na nowej ideologii. Dawna okazała się martwą i niewystarczającą. Istota naszych potrzeb społecznych uwypukla się się coraz bardziej, głos świeży sił młodych rozlega się coraz potężniej, kto ma więc uszy do słuchania, niech słucha, i kto ma w sobie żywotność i tęsknotę, niech pójdzie za głosem tych wielkich potęg, a one mu wskażą nową treść. Ścieranie się różnych sił nigdy nie zaniknie, nie zaniknie nigdy różność dążeń, nie wskazują bynajmniej sie-

---

szem? Cierpienie — jest kapitałem, który utracił swoją wartość. Nie należy też wyrzekać przed nikim na swoje życie: słowa pociechy rzadko zawierają w sobie to, czego szuka w nich człowiek. Zaś najpełniejszem i najbardziej interesującem jest życie wówczas, gdy człowiek walczy z tem, co mu przeszkadza żyć. W walce upływają niepostrzeżenie smutne i nużące godziny, które jednostajnie wydzwania zegar.

IV.

Tik-tak, tik-tak!

Życie człowieka do śmieszności jest krótkiem. Jak żyć? Jedni uporczywie wyrzekają się życia; inni całkowicie mu się poświęcają. Pierwsi odarci będą na schyłku życia ze wspomnień i nędzni duchem, drudzy obfitować będą w jedne i drugie. I ci i tamci umrą, i nikt nie pozostawi po sobie śladu, jeśli nikt nie będzie oddawał bezinteresownie życiu serca swojego i umysłu... A gdy będziesz umierał, zegar obojętnie wydzwaniać będzie sekundy twojej agonii,— tik-tak! W te same sekundy zrodzą się nowi ludzie, po kilku w jedną, a ciebie już niema! I nic nie pozostanie w życiu po tobie prócz ciała, które wydawać będzie woń zgnilizny. Czyż duma twoja nie buntuje się się przeciwko takiej twórczości automatycznej, która tchnęła w ciebie życie, a potem wydarła ci je — i na tem koniec? Utrwal więc pamięć o sobie, jeśli posiadasz dumę i jeśli obraża cię twoja zależność od ukrytych zadań czasu. Pomyśl o swojej roli w życiu:—ulepiono cegłę, która leżała później nieruchoma w danym budynku, potem rozsypała się i znikła... Nudna to i marna rzecz być cegłą — wszak prawda? Nie bądź więc podobnym do cegły, jeśli żyje w tobie umysł i dusza i jeśli chcesz zaznać w życiu dobrych, pełnych uczuć i myśli burzliwych godzin, które wydzwania zegar.

V.

Tik-tak, tik-tak!

Gdy pomyślisz o tem, czem jesteś w bezgranicznym ruchu godzin zegarowych,— zgnębi cię poczucie twojej marności. Niechże ta świadomość zrani twoją dumę! Niech zbudzi ona w tobie godność i natchnie cię uczuciem wrogiem dla życia, które cię tak poniża. Wytocz mu walkę. W imię czego? Gdy natura pozbawiła człowieka jego zdolności chodzenia na czworakach, dała mu za kosztur—ideał! I od tej chwili dąży on nieświadomie, instynktownie ku lepszemu—ku wyżynom! Uczyń dążenie to świadomem, ucz ludzi aby rozumieli, że prawdziwe szczęście tkwi jedynie w świadomem dążeniu ku lepszemu. Nie skarż się na brak sił, nie skarż się na nic. Jedynem, co możesz zyskać swoją skargą—będzie politowanie, jałmużna, którą ci cisną nędzni duchem. Wszyscy ludzie jednakowo są nieszczęśliwi, ale najnieszczęśliwszym ze wszystkich jest ten, kto stroi się w swoje nieszczęście. Tacy najbardziej pożądają współczucia i najmniej na nie zasługują. Dążenie naprzód — oto cel życia. Niechże więc całe życie będzie dążeniem, wtedy wydzwaniać w niem będzie zegar wzniośle— piękne godziny.

D. [illegible]

lanki zgody ogólnej jako ideału, lecz życie daje bogatą treść. Ta z nich przetrwa, która mieć będzie największą siłę duchową. Dziś wiemy tylko, że gmach dawny runął; i że na widnokręgu coraz wyraźniej rysują się, rosnące szybko w górę, mury nowego.

Dotąd jednak widmo dawnej ideologii błąka się wśród nas i znajduje posłuch wśród słabych i lękliwych. *xyz.*

Robotnicy folwarczni.

Charakterystyczną cechą obecnej chwili, jest walka wszystkich klas i stanów, podjęta na obszarze całej niemal kuli ziemskiej w obronie praw ekonomicznej egzystencyi każdego z nich. Każda grupa ludzi, połączonych wspólnymi interesami, jednoczy swe siły i stawia żądania, mogące zagwarantować jej prawo do życia. Jest jednakże między nimi jeden stan tak biedny, tak bezsilny, tak pozbawiony praw zabezpieczających, że do walki stanąć nie może, bo niema ani środków do jej prowadzenia, ani nadziei osiągnięcia pomyślnych rezultatów. Pisząc te słowa, mam na myśli robotników wiejskich, a raczej parobków folwarcznych w naszym kraju.

Dzisiejsze rządy oraz grupy społeczne, zajmujące się pracą nad polepszeniem bytu robotnika, mają na względzie przeważnie pracowników fabrycznych. O robotniku wiejskim nie myślą u nas wcale, tak jakby go nie było, albo jakby się z nim i jego potrzebami nie trzeba było liczyć.

Prawodawstwo nasze, stanowiąc prawa, regulujące byt robotników, tworząc inspekcye, ograniczając dzień roboczy, ma zawsze na widoku robotnika w fabryce, w przemyśle lub w rzemiośle, który o swe prawa prędzej upomnieć się może, więc łatwiej też o nim pamiętać.

Parobek folwarczny, bo o nim pisać zamierzam, oddalony od centrum ruchu umysłowego, jest słabiej albo wcale nierozwinięty (znakomita większość są to analfabeci). Rozproszeni po całym kraju, nie mogą oni skupić się dla gromadnego rozpatrzenia swych potrzeb. Jest to typ jednolity, o stanie umysłowości równym, jak woda jeziora w czasie ciszy, niema między nimi wykształceńszych majstrów, ani bywalców, a jeżeli który z nich raz wysunie się po nad ogólny poziom, nie wraca do niego nigdy.

Parobek jest otoczony ludźmi, których interesa są krańcowo przeciwne jego interesom; większej, średniej i mniejszej własności zależy na tem, aby praca parobka była tania, wymagania minimalne, rozwój umysłowy nizki. Rozumny parobek to w pojęciu naszych obywateli zaraza, której należy jak najprędzej pozbyć się z folwarku, gdyż rozum jego nie odpowiada temu, czego wymaga jego pracodawca. Robotnik taki zaczyna swoją emancypacyę i rozwój indywidualny od pragnień i żądań polepszenia swego bytu, od fermentu, czując instynktownie, że tylko tą drogą wywalczy sobie odrobinę niezależności, pozwalającej mu rozwijać się dalej. Tu jednak staje znów w sprzeczności z interesem pracodawcy, który po większej części krępuje wszelkie porywy w kierunku rozwoju w tych ludziach pojęć więcej kulturalnych o stosunkach z pracodawcą. Jedni więc wskutek tego porzucają służbę we wsi, drudzy zginają się pod żelaznym przymusem i zastosowują do narzuconych form życia.

Od bytu parobka do bytu ludzkiego jest tak daleko, że dziś niema środków na postawienie go z rodziną w warunkach znośnych wobec rozpaczliwego stanu naszej większej i średniej własności. Zrobić zeń właściciela choćby drobnej cząstki rolnej jest marzeniem, niemożliwem do urzeczywistnienia, ze względu na potrzebę tych rąk roboczych do wyżywienia 11½ tysięcy dziedziców ziemskich z ich rodzinami. Pozostawić go w stanie dzisiejszym, znaczy zgodzić się z tem, że 400,000 ludzi żyć będzie w warunkach gorszych, niż bydlęta. Według danych, opracowanych przez p. A. Zakrzewskiego, nasza wieś posiada 369,378 parobków folwarcznych, 317,904 robotników na dniówkę i 18,443 parobków włościańskich. Wszyscy ci ludzie, na mocy żelaznego prawa urodzenia, są pozbawieni praw obywatelskich i ludzkich. Ustawa gminna z 1864 r. prawo samorządu przyznaje mieszkańcom wsi, posiadającym najmniej 1⅓ morga gruntu. Z kas pożyczkowo-oszczędnościowych przy gminie parobek nie korzysta, bo choć ustawa pozwala na wydawanie pożyczek bezrolnym, warunki otrzymania ich, mianowicie poręczenie jednego lub dwu posiadaczów gruntu, uniemożliwiają dla parobka korzystanie z tego dobrodziejstwa, nie słyszałem też nigdy o udzieleniu parobkowi pożyczki z kasy gminnej. Z wszystkich praw obywatelskich jemu przysługuje tylko jedno, mianowicie, może i powinien być zapisanym do ksiąg ludności. Żadnych innych nie posiada. Nawet skarga do sądu, tej instytucyi najbardziej ludzkiej, jest dla niego prawie niemożliwą z powodu nieumiejętności pisania, braku środków na wynagrodzenie za napisanie i braku czasu lub pozwolenia na wyjazd do miasta dla podania i przypilnowania sprawy.—Pozostają mu prawa przyrodzone: prawo urodzenia i prawo śmierci,—i jedno i drugie odbywa się w warunkach anormalnych.

Zdaje się każdemu jest wiadomem, jakich warunków hygienicznych wymaga urodzenie człowieka, jakiej czystości wymagają w podobnej chwili nasi lekarze, stawiając w zależności od niej życie i zdrowie matki. Zajrzyjmy do chaty parobka: w jednej izbie, prawie zawsze bez podłogi, z błotem lub kurzem na ziemi, stoi jedyny tapczan, na którym sypia cała rodzina: garść słomy, rzadko przykryta, rzadziej jeszcze pranem prześcieradłem, na wierzchu brudna płachta i poduszka. Temperatura izby, stosownie do pory roku, albo koło zera albo wyżej 20% Reaumara, zawsze duszna. Woda najczęściej z sadzawki, rzadziej ze studni, nigdy przegotowana; pomoc lekarska w postaci baby znachorki; środki opatrunkowe: szmat oddarty od fartucha. W takich warunkach matka, jeżeli wyżyje, zawdzięcza to ogromnej odporności organizmu, ale za to olbrzymia większość tych matek pozostaje kalekami na resztę dni swoich. Urodzone w tych warunkach dziecko, jeżeli jest bardzo silne, żyje do pierwszej epidemii zdrowo i szczęśliwie o tyle, o ile zostawione pod opieka 7 lub 8 letniego rodzeństwa, podczas kiedy matka zajęta jest pracą w polu lub stodole, nie spali się, nie utopi, nie zostanie pożartem przez świnie, lub nie zwichnie sobie kręgów.—Pierwsze surowizny oraz epidemie kosztują setki istnień drobnych dzieci parobków, przy życiu zostaje ich niewielki procent, i gdyby nie nadzwyczajna siła rozrodcza, gdyby nie dziwna odporność natury chłopskiego dziecka, przystosowującej się do warunków, klasa tych ludzi zdawałaby się skazaną na wymarcie. Dziecko, które dożyje lat siedmiu, zaczyna pracować: pielęgnuje i dźwiga młodsze rodzeństwo, przynosi wodę, wióry, zaczyna paść. Do szkoły nie chodzi, bo szkoła najczęściej daleko, zresztą niema czasu i niema za co. Nauczyciel wiejski darmo na naukę dzieci parobczych nie przyjmuje, a dwory, które za tę naukę płacą, należą do wyjątków. Każdy rok w życiu takiego dziecka zaznacza się powiększeniem ciężarów jego pracy; dziecko uważane jest przez rodziców za kapitał, który powinien procentować. To dziecko nie zna prawie matczynego uśmiechu, bo jego matka śmiać się nie umie i nie ma czasu, nie widzi zabawki, nie zna co to jest przyjemność, a jedyną jego rozrywką jest nocna wyprawa do ogrodu folwarcznego, po jabłka i gruszki, wyprawa połączona z ryzykiem: obicia przez nocnego stróża, lub obdarcia przez psy. Po przebytych w ten sposób pierwszych latach młodości, przyszły parobek godzi się za posyłkę, na pół pensyi i ordynaryi, bez mieszkania, bo ma je w izbie rodziców i, pracując jak dorosły, a podczas żniw, przy podbieraniu snopów cięższej, pobiera pensyę dziecka. Dochodzi tak do lat osiemnastu lub dwudziestu i, jako szczyt pragnień swoich, otrzymuje tytuł i stanowisko parobka dworskiego, zależnego od gumiennego, ekonoma, rządcy i dziedzica. Ze słońcem wstaje, ze słońcem kończy swą pracę, latem pracuje godzin 16, z przerwą na śniadanie i obiad, upada ze znużenia, w zimie po zapadnięciu zmroku, nie znając żadnego rzemiosła, nie umiejąc czytać, gnuśnieje w bezczynności na swoim barłogu. Opisany przezemnie obraz nie jest przesadą—na dowód przytoczę, co mówi, stojący na stanowisku większego właściciela, p. L. Górski w pracy: „Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli w Królestwie polskiem".

„U nas mieści się jeszcze po dwie rodziny parobków w jednej ciasnej i nizkiej izbie, tam matki przy jednym ogniu gotują, w jednym piecu chleb pieką, dziatwa przy jednym grzeje się kominie, sprzęty i zapasy żywności stoją pomieszane, dając powód do kłótni, podejrzeń i ciągłego nieładu.

Domy budowane są zwykle w ten sposób, że we środku tak zwanego czworaka, znajduje się sień wspólna, do której roszczą prawo wszyscy, w niej spotykają się i wadzą gospodynie, bije się i płacze próżnująca dziatwa, mieszczą się kury i prosięta, a stąd powód do kłótni swarów i przekleństw. Dziwić się nie można, że ludzie, nie znając przyjemności w mieszkaniu własnem, szukają jej w święto w karczmie i że wśród takiego przykładu wychowane dzieci, już na świat przynoszą te same wady, które ich rodziców kaziły. Domy postawione bez obmyślanego planu, pozbawione odpowiednich ścieków, otoczone są błotem i kałużą, w której ryje głodna i porządnego chlewa pozbawiona świnia, wypatrując chwili, aby się do izby dostać mogła. Miejsc ustępowych nie spotkałem prawie nigdzie. W takiem otoczeniu i w takich warunkach niepodobna, by mogło rozwinąć się wśród mieszkańców zamiłowanie porządku, czystości i ładu". Tyle o mieszkaniach. W kwestyach tyczących się zaspokojenia innych potrzeb życiowych parobka, odsyłam ciekawych do pracy p. Zenona Pietkiewicza: „Siły i środki ludu naszego". Podług przytoczonych przez niego cyfr i obliczeń p. Zdziarskiego, parobek z rodziną i posyłką na niezbędne wydatki musi mieć 63 rs. 70 kp. rocznie, ponieważ po zaspokojeniu potrzeb życiowych, pozostaje mu z jego zarobku tylko 27 rb. 95 kop. więc rzeczywisty niedobór parobka wynosi 35 rb. 70 k. Obliczenia dokonane przez p. Zdziarskiego, dotyczą stosunków gub. Płockiej, dają jednak ogólne pojęcie o stosunkach, panujących w Królestwie polskiem. Według p. Zdziarskiego niedobór ten pokrywa się w ten sposób, że starsi w niedzielę i święta, a dzieci całą zimę, przeleżą pod pierzyną lub za piecem, aby tym sposobem śniadania nie jeść, z kolacyi urwać, ubrania mniej zedrzeć, lub go wcale nie kupować. W tej że książce p. Pietkiewicz przytacza zdanie znawcy naszych stosunków wiejskich p. K. Filipowicza, który zwraca uwagę na to, że wszelkie potrzeby życia stają się z biegiem czasu coraz droższemi. Chociaż służący na ordynaryi znaczną część wynagrodzenia pobiera w naturze, to jednak pensya jego,

a co ważniejsze zarobki żony i dzieci, płatne pieniędzmi, zmieniły się w rzeczywistej swej wartości, gdyż cena płacy, zwłaszcza stałej służby wiejskiej, nie o wiele w ciągu czasu tego się zwiększyła. Już z tych więc względów, materyalne położenie służby wiejskiej jest dziś gorsze, niż przed rokiem 1876, a nie trzeba zapominać, że i potrzeby ich z postępem czasu i cywilizacyi muszą mnożyć się i rosnąć. A jeśli, pisze dalej p. Zdziarski, zdarzy się jeszcze nieurodzaj kartofli, padnie krowa, stanowiąca jedyny kapitał rodziny i źródło pożywienia dla drobnych dzieci, jeśli przyjdzie nareszcie choroba, wówczas położenie, żyjącego z dnia na dzień i nieposiadającego żadnych zapasów, staje się poprostu bez wyjścia. Czyż wobec tego można się dziwić, że parobek wiejski przyciśnięty straszną koniecznością, złamany niedolą, pozbawiony wszelkich innych sposobów ratunku, chwyta się ostatniego, jaki mu jeszcze pozostał... kradzieży?... Pierwszy upadek pociąga za sobą dalsze—przykład jest zaraźliwy, a dzieci od najmłodszych lat chowane w demoralizującej atmosferze, nie mogą się stać innemi, niż ich rodzice. Czemże bowiem jest ich wychowanie? Gdzież czyniki, tworzące wzniosłe charaktery i uszlachetniające uczucia?

Dok. nast.

St. Staniszewski.

W sprawie stosunków wzajemnych Polaków i Rusinów w Galicyi.

W stosunkach polsko-rusińskich w Galicyi nagromadziło się tak dużo ślepej nienawiści, niechęci, oskarżeń obustronnych i utyskiwań jałowych, że sama istota kwestyi została usunięta na plan dalszy. „Polacy dążą do zupełnego spolszczenia Rusi“ — twierdzi „Diło“ i skwapliwie wyszukuje fakty i fakciki, mogące poprzeć to twierdzenie. „Rusini chcą Polaków za San wyrzucić“—krzyczy „Słowo Polskie“ i skrzętnie wyławia z łamów rusińskiej prasy szowinistycznej rozmaite głupstwa, kompromitujące ich autorów. A ogół tymczasem, wsłuchany w zgiełkliwe wrzaski nacyonalistów, bierze na wiarę twierdzenia i jednej i drugiej strony, nie mając wprost możności sprawdzenia, co w nich jest prawdą, a co przesadą agitacyjną. Strona bowiem faktyczna stosunków polsko-rusińskich jest dziedziną bardzo mało znaną. Dość powiedzieć, że dotychczas niema żadnej, jako tako przyzwoitej mapki etnograficznej Galicyi, że dane statystyczne, dotyczące Polaków w Galicyi Wschodniej, odznaczają się wielką fantastycznością, pozwalającą na dowolność zupełną w granicach prawie miliona, że ocena siły asymilacyjnej obu żywiołów narodowościowych Galicyi nie została przez nikogo dokonana i t. d. Zdaje się jednak, że taki smutny stan rzeczy poczyna się zmieniać—przynajmniej w pewnej mierze. Inteligencya polska, mieszkająca w Galicyi Wschodniej, przychodzi do zrozumienia tego faktu, że bez dokładnego poznania terenu i panujących na nim stosunków niepodobna prowadzić żadnej pracy kulturalnej, to też w ostatnich czasach spotykamy się coraz częściej z przyczynkami de charakterystyki praktycznego stanu rzeczy na terytoryum, zamieszkanem przez mniejszość polską. Drobne przyczynki—niekiedy zresztą posiadające trwałą wartość—zamieszcza „Miesięcznik Towarzystwa Szkoły Ludowej“, a świeżo ukazało się gruntowne studyum statystyczne p. Antoniego Borzemskiego, poświęcone specyalnie powiatowi Sanockiemu.

Powiat Sanocki należy do tych powiatów Galicyi środkowej, w których ludność polska styka się z rusińską i gdzie przechodzi granica etnograficzna pomiędzy dwoma szczepami. Ponieważ zaś w powiecie Sanockim walka narodowościowa nie przybrała jeszcze tych rozmiarów, co dalej, na wschodzie Galicyi, przeto powiat ten nadaje się bardziej od innych do spokojnych, niezamąconych namiętnościami politycznemi studyów i wysnuwania objektywnych wniosków.

P. Borzemski opiera się w swych zestawieniach na danych spisu ludności z roku 1900-go, porównywając je z danymi poprzednich spisów. Otóż według ostatniego spisu ogólna liczba mieszkańców powiatu Sanockiego wynosiła 103.590. Wyznawców religii rzymsko-katolickiej było 39.360, grecko-katolickiej 53.922. Gdybyśmy więc brali za podstawę obliczeń wyznanie, co jest przy ocenie stosunków narodowościowych w Galicyi przez Rusinów regułą stałą, tobyśmy musieli uważać powiat sanocki za posiadający olbrzymią przewagę na korzyść Rusinów. Tymczasem statystyka językowa dowodzi czegoś innego. Mianowicie ogólna liczba mówiących po polsku różni się od liczby mówiących po rusińsku zaledwie o 1332. Tych ostatnich jest 52.332, gdy pierwszych 51.000. Czem się to tłomaczy? Przedewszystkiem tem, że 10.284 żydów, mieszkających w powiecie podało przeważnie, że mówi po polsku. Ale i tego byłoby jeszcze za mało, aby doprowadzić liczbę mówiących po polsku do takiej wysokości — tembardziej, że pewna część żydów uznała język rusiński za swój rodowity (takich jest wszystkiego 83). Pewnem więc jest, że znaczna liczba greko-katolików musiała przyznać się do polskości. Ponieważ zaś w niektórych gminach czysto rusińskich lub posiadających przygniatającą większość rusińską są i rzymscy katolicy, uważający się za Rusinów (ogółem 317) przeto siła asymilacyjna Polaków występuje jeszcze wyraźniej. A więc w powiecie Sanockim Polacy, dzięki swej sile asymilacyjnej, zdobyli na Rusinach 1590 dusz.

W powiecie Sanockim są gminy w których niema ani jednego greko-katolika i żyda — takich jest trzy. W trzech gminach znowu niema ani jednego greko-katolika, są zaś żydzi. W siedmiu gminach, pomimo że mieszka tam przeszło 200 greko-katolików, wszyscy mieszkańcy uważają się za Polaków. W 19 gminach Polacy stanowią conajmniej 90% a w 9-ciu minimum 50%. Razem więc gmin z przeważającą ludnością polską jest 41. Mieszka w nich greko-katolików 5215, ale z nich mówi po rusińsku tylko 3992. Cała więc bez mała zdobycz asymilacyi polskiej na Rusinach przypada na gminy o przeważającej ludności polskiej. W każdym jednak razie siła asymilacyi żywiołu polskiego jest większa od takiejże siły rusińskiej, gdyż Polacy zdołali zasymilować jeszcze 367 greko-katolików w gminach, gdzie stanowią sami mniejszość. Co do Rusinów; to ci w żadnej gminie o większości polskiej niczem podobnem wykazać się nie mogą. Do najwyższego stopnia natężenia siła asymilacyjna żywiołu polskiego dochodzi po miastach. Tak w Sanoku na 1005 grekokatolików tylko 387 mówi po rusińsku, w Posadzie Sanockiej na 402 gr. katolików po rusińsku mówi 59, w Posadzie olchowskiej na 221 gr. katolików—14.

Gmin rusińskich — wyłącznie lub przeważnie jest w powiecie 89. Z tych wszyscy mówią po rusińsku w 9. Gmin, w których 90% mówi po rusińsku jest 58, od 50% do 90%—22. W ośmiu gminach rusińskich przeszło trzecia część mówi po polsku. W gminach rusińskich mówi po polsku 4.849. Doliczywszy do 41 gmin polskich 22 gminy w których mieszka 10—50% Polaków i 6 gmin rusińskich, w których mieszka więcej niż 50% Polaków, otrzymamy 69 gmin o ludności mieszanej.

Przyjrzyjmy się teraz, jak odbijają się stosunki etnograficzne powiatu na jego stanie kulturalno-oświatowym.

Powiat Sanocki nie należy do światlejszych powiatów kraju, albowiem na 103.590 mieszkańców posiada on 68.491 analfabetów i tylko 34.354 umiejących czytać i pisać lub przynajmniej tylko czytać. Otóż w gminach rusińskich analfabetyzm jest zjawiskiem daleko częstszem i powszechniejszem, aniżeli w polskich. Niema ani jednej gminy polskiej, w której wszyscy mieszkańcy byliby analfabetami. Rusińskich zaś takich jest aż 8. Na 130 gmin powiatu Sanockiego jest 44, w których liczba analfabetów wynosi conajmniej 90%—wszystkie rusińskie. Gmin, w których jest więcej, niż trzecia część a mniej, niż 90% analfabetów znajduje się w pow. Sanockim 35 — 29 rusińskich, 6 polskich. Gmin, w których więcej niż 1/3 mieszkańców, mniej niż połowa umie czytać lub czytać i pisać, są tylko 2 rusińskie na 16 polskich. Pod tym względem przewaga ludności polskiej jest ogromna i ona to jest bezwątpienia jednym z czynników tej siły asymilacyjnej, która cechuje żywioł polski.

Poziom analfabetyczny jest dokładnem odzwierciedleniem stosunków szkolnych—przedewszystkiem rozmnożenia szkół. I tu widzimy wielkie upośledzenie gmin rusińskich. Czynnych szkół z językiem wykładowym polskim było 37 na 41 gmin polskich, z rusińskim zaś 40 na 89 gmin rusińkich. Gmin, w których wcale niema szkoły, które nie należą do żadnego związku szkolnego, jest 24. Gmin, w których szkoły są nieczynne, jest ośmnaście. Razem więc jest 42 gmin, w których dzieci, obowiązane do nauki szkolnej, nie mogą jej pobierać. *Wszystkie te gminy są rusińskie* i tylko w 5 z nich mieszka od 50 do 140 rzymskich katolików. Należy tu jednak dodać, że wszystkie szkoły czteroklasowe po wsiach (6) z wyjątkiem jednej oraz wszystkie po miastach są polskie, Rusini posiadają tylko jednoklasowe szkoły wiejskie.

Na tym przykładzie powiatu Sanockiego dokładnie widać, jak powierzchownymi są te sądy ogólnikowe o „ciemnocie galicyjskiej“ i „analfabetyzmie galicyjskim“ i galicyjskim braku szkół“ i t. d. Jeśli bowiem przeprowadzimy podział narodowościowy, to zobaczymy, że stan ludności polskiej przedstawia się zupełnie inaczej pod tym względem, aniżeli położenie Rusinów.

Charakterystyczne, że na polu kościelnem znowu upośledzeni są Polacy. Kościołów w powiecie jest 17, cerkwi —86. Do probostwa rzymsko - katolickiego należy średnio około 3,000 parafian, do jednego probostwa grecko-katolickiego około 1,300, a więc przeszło dwa razy mniej. Jeden kościół przypada na 2,355 rzymskich katolików, a jedna cerkiew na 628 unitów. Wliczywszy kościoły i cerkwie po za granicami powiatu Sanockiego, ale należące do probostw, którym są poddane gminy, otrzymamy jeden kościół dla 1,739 rzymskich katolików i jedną cerkiew dla 540 greko-katolików.

Tak się przedstawiają stosunki narodowo-kulturalne w powiecie kresowym polskiego i rusińskiego obszaru etnograficznego. Przyjrzyjmy się teraz stosunkom panującym w jednym z „czysto rusińskich“ powiatów, położonych w głębokiej Rusi — i to w dodatku tam, gdzie oddziaływanie państwowej kultury polskiej było zawsze bardzo słabe. Mamy przed sobą dane, dotyczące powiatu Stanisławowskiego, zgromadzone w ostatnim zeszycie „Miesięcznika Towarzystwa Szkoły Ludowej“. Nie jest to materyał tak bogaty i wszechstronny, jak zebrany przez p. Borzemskiego, ale w każdym

razie pozwala on na wysnucie pewnych wniosków anologicznych.

Powiat Stanisławowski liczy 75 gmin politycznych, w których mieszka 134,099 osób. Ludności rzymsko-katolickiej jest 28,112, grecko-katolickiej 79,102, żydowskiej 25,580. Rusinów jest jednakże przeszło o 2,000 mniej niż greko-katolików, bo tyko 77,070. Ponieważ zaś w Stanisławowskiem liczba żydów, podających się przy spisie za Rusinów, jest bezporównania większa, aniżeli w Sanockiem, przeto zdobycz asymilacyjnej siły polskiej jest bezwzględnie wyższa, niż 2,000. Zresztą w Stanisławowskiem muszą działać na wzmaganie się żywiołu polskiego jeszcze inne czyniki, jak większa zdolność rozrodcza Polaków albo mniejsza ich emigracya, a może i napływ z zewnątrz. Inaczej niepodobnaby wytłomaczyć ustawicznego wzrostu liczby mieszkańców wyznania rzymsko-katolickiego. Przechodzenie z wyznania grecko-katolickiego na rzymskie jest niedopuszczalne na mocy rozporządzenia papiezkiego. Pomimo to jednak w r. 1889 było katolików rzymskich 14.6 proc. w r. 1880—15.3 proc., w r. 1890 — 17 proc., a w roku 1900 — 21 proc. Procentowy wzrost ludności polskiej wskutek działalności wyżej wzmiankowanych czynników (wraz z okolicznością, że coraz większa liczba żydów podaje przy spisie jako język towarzyski polski zamiast niemieckiego), przedstawia się w następujący sposób. Rok 1880—20%; r. 1890 — 30.8%; r. 1900 — 38.7%. A więc przybytek ludności polskiej w ciągu lat 20 wynosi 15.5%. Jednakże w samym Stanisławowie wzmacnia się stale żywioł rusiński wskutek napływu ludności ze wsi okolicznych pomimo, że w tem mieście najsilniej uwydatnia się zdolność asymilacyi Polaków. W r. 1880 Stanisławów miał Rusinów 7.3%, obecnie posiada już 13.4%.

Co do oświaty ludowej, to 51.86% ludności nie umie czytać, ani pisać. I tu gminy o wyższym procencie ludności polskiej wykazują mniejszy procent analfabetów, a na ogólną liczbę szkół zorganizowanych — 73, szkół z językiem wykładowym polskim przypada 19. Pod względem kościelno-religijnym ludność polska jest w Stanisławowskiem bez porównania słabiej uposażona od rusińskiej aniżeli w Sanockiem. Greko-katolicy mają przeszło pięć razy więcej parafij, sześć razy więcej kościołów i trzy razy więcej księży od rzymskich katolików. Tem się tłomaczy tak wielka liczba zrusinizowanych Polaków, rozrzuconych po gminach, które leżą daleko od kościołów. Wytwarzają się bowiem tego rodzaju stosunki, że chłop polski, mając kawał drogi do kościoła rzymsko-katolickiego, chrzci dzieci w kościele unickim i sam przechodzi często na obrządek grecko-katolicki.

Dane, zgromadzone w obu pracach, któreśmy rozpatrzyli, rzucają sporo światła na kwestyę stosunków wzajemnych Polaków i Rusinów w Galicyi. Gdybyśmy posiadali monografie w rodzaju tej, jaką nam dał p. Borzemski, o wszystkich powiatach, posiadających ludność mieszaną, moglibyśmy oprzeć wszelkie programy działania i plany akcyi na tym terenie na zupełnie trwałych podstawach, nie obawiając się, że popadniemy w wir fantasmagoryi nacyonalistycznej tej czy innej strony.

Daleki.

Kongres hygieny szkolnej w Paryżu.

W połowie czerwca r. b. odbył się kongres poświęcony sprawom hygieny szkolnej. Zwołany on został i urządzony staraniem istniejącej od lat trzech Ligue des médecins et des familles, która szczerze i energicznie zajmuje się zbadaniem stanu szkół pod względem hygieny i wprowadzenia w życie niezbędnych w tej dziedzinie reform. Inicyatorami owej Ligi byli znani i wybitni lekarze francuscy jak Doléris, Quenu, Siredey, Mathieu, Le Gendre, Beclère, Ballet, Comby Bouchard, Chantemesse, Toulouse, i w. in., którzy sądzili, że akcya ich wtedy jedynie przyniesie pożądane rezultaty, jeżli wezmą w niej udział ojcowie i matki, bezpośrednio zainteresowani w zdrowotności szkół. Tymczasem pomimo gorących odezw komitetu, znalazło się tych ojców rozumiejących potrzebę hygieny i gotowych poświęcić jeden wieczór na miesiąc oraz 2 fr. rocznej składki... aż 12-u, na ogólną liczbę 300-u członków. Fakt ten niewątpliwie nie jest znamiennym wyłącznie dla Francyi, bo w przeciwnym razie hygiena szkolna czyniłaby znacznie większe postępy, niż to się dzieje dzisiaj. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że hodowla bydła i ptactwa domowego posunęła się o wiele więcej napród, niż wychowanie dzieci. Nie mówiąc już o hygienie noworodków, które w przerażającej liczbie padają ofiarą ciemnoty i niedbalstwa, ale i hygiena dzieci w wieku szkolnym mało jest znaną i stosowaną. Porównajmy tylko na wzorowych gospodarstwach czystość, porządek i komfort zabudowań przeznaczonych dla koni, bydła, trzody lub ptactwa domowego, ze smutnymi i brudnymi budynkami szkolnymi.

Są szkoły wspaniale wyglądające zzewnątrz, ale nieodpowiadające zgoła warunkom hygienicznym wewnątrz i w życiu praktycznem. Od czasu do czasu hygieniści podnoszą głos, mówi się dużo i pisze o konieczności przestrzegania prawideł powszechnie uznanych za racyonalne, wprędce jednak wszystko cichnie i życie szkolne idzie znowu starym trybem, wołającym o pomstę do nieba.

Doskonale scharakteryzował hygienę szkolną na pierwszem posiedzeniu kongresu znakomity historyk Ernest Lavisse, były profesor Sorbony, a obecnie kierownik Wyższej szkoły normalnej. Opowiada on z własnych wspomnień młodzieńczych, że w szkole prowincyonalnej, gdzie rozpoczynał naukę, zarówno kąpiel jak i mycie nóg były zbytkiem nieznanym. Na dokończenie wychowania oddano go do Paryża, ale i tu wanny nie było, a obmywanie nóg odbywało się raz na miesiąc w cebrzyku, który miał służyć jednocześnie czterem uczniom. Rozmowa w klasie lub w sali jadalnej była przewinieniem, palenie papierosów—przestępstwem, ale brud ciała nie wywoływał ani kary, ani nagany. Klasy były nader ciasne, źle przewietrzane, dziedzińce małe, spacery zabijająco nudne, a chorobliwa nieruchliwość ideałem dobrego sprawowania. Niewątpliwie, powiada Lavisse, postęp jest znaczny, ale jakże wiele jest do zrobienia w porównaniu z tem, co zostało dokonane. System szkolny wzorował się na klasztornych, stąd pochodzi ta zasadnicza pogarda dla ciała, t. j. grzesznej powłoki ducha, którą raczej gnębić należało, aby — wedle pojęć średniowiecznych — nie brała przewagi nad duchem. Dziś pojmujemy tę sprawę całkiem przeciwnie, uznajemy konieczność współrzędnego rozwoju ducha i ciała, wszelkie jednak reformy wychowawcze spotykają się z oporem rozpaczliwym, przeszłość bowiem najsilniej, najuporczywiej broni swej placówki tam, gdzie się budują podwaliny przyszłości — w szkole. Kierunek nad wychowaniem młodzieży zależy od dwóch ciał zbiorowych, z natury swej zachowawczych — kościoła i państwa, inicyatywa prywatna nie budz zaufania rodziców i stąd prawie zawsze upada, nie wydawszy nawet rezultatów. Wreszcie najbardziej racyonalnym i powszechnie uznawanym za konieczne reformom stają na przeszkodzie wymagania egzaminów, konkursów, patentów i dyplomów wszelkiego rodzaju, wobec których zarówno rodzice, jak i młodzież w pogoni za chlebem i karyerą zapominają o wszystkiem, co do celu upragnionego nie prowadzi. I tu jeszcze Lavisse komunikuje słuchaczom obserwacyę swą, zaczerpniętą z długiego zawodu nauczycielskiego: „Nie przypominam sobie, powiada, abym kiedykolwiek miał do czynienia z ojcami moich uczniów; rozmawiałem jednak nieraz i korespondowałem z matkami: chodziło im zawsze o to, ażeby syn ich nie był ukarany i aby był pierwszym; ambicya matek jest wrogiem hygieny szkolnej". Nie ufa przeto Lavisse, aby hygieniści znaleźli w rodzicach współdziałanie i zaleca skierować wszystkie usiłowania na szkoły normalne niższe i wyższe, skąd wychodzą zastępy nauczycieli i nauczycielek.

I istotnie Lavisse nie zadawala się frazeologią, a wprowadza w życie zasady, których jest wyznawcą. Zaledwie mianowany przed kilku miesiącami dyrektorem wyższej szkoły normalnej, natychmiast zaczął tam wprowadzać reformy hygieniczne i pedagogiczne: zniósł kraty żelazne u okien, zaprowadził ogromne umywalnie, kąpiele, prysznice, a w dalszym ciągu zamierza tak wszystko zorganizować, aby młodzież miała tam jak najkorzystniejsze warunki do pracy, jak największą swobodę i najodpowiedniejszą hygienę.

Po przemówieniu Lavisse'a nastąpiło odczytywanie referatów, z pomiędzy których na wyróżnienie zasługuje praca dwóch lekarzy szpitalnych, znanych w literaturze medycznej, Mathieu i Mosny, dotycząca rozkładu godzin pracy i wypoczynku w szkołach średnich. Zaznaczają oni, iż rozkład ten nie powinien nigdy zależeć od przypadku, ale być ułożony w taki sposób, żeby miał na uwadze nietylko wiek młodzieńczy, lecz i porę roku oraz stan pogody. Należy obmyśleć zużytkowanie czasu wolnego jak najkorzystniejsze, rozkładając go na sen, gry zbiorowe, starania mające na celu czystość ciała, śpiew i wypoczynek. Potrzeba również pamiętać o tem, aby ćwiczenia fizyczne nie wyprzedzały zbyt blizko śniadania lub obiadu, jak również pracy umysłowej, wiadomo bowiem, że zmęczenie fizyczne i zmęczenie umysłowe bynajmniej nie neutralizują się wzajemnie, jak to zwykle myślą, lecz przeciwnie łączą się i kombinują ze sobą, zwłaszcza gdy ćwiczenie fizyczne wymaga wielkiego wysiłku woli, energii. Proponują przeto następujący rozkład godzin:

O 6 i pół g. rano wstawanie, 6 g. m. 30 do 7 g. 30 powtarzanie lekcyi, 7 g. 30 do 7 g. 45 m. pierwsze śniadanie, 8 do 10 g. (z pauzą 5-o minutową) lekcye 10 g. 30 m. do 11 g. 30 m. nauka, 12 do 12 g. 30 m. drugie śniadanie; 12 g. 30 m. do 3 g. nauka, 3 do 4 lekcya, 4 g. m. 30 podwieczorek, 5 do 7 g. 30 m. nauka, 9 g. spoczynek. Zatem praca siedząca dla starszych powyżej lat 15-u ma wynosić ogółem 8 godzin, dla młodszych od 12 do 15 lat ma być skróconą o pół godziny rano i pół godziny wieczorem, dla najmłodszych poniżej lat 12 — mniej o godzinę rano i godzinę popołudniu, czyli ogółem 6 godzin, co pozwoliłoby oznaczyć godzinę wstawania na 6 i pół g. a spoczynek na 7 i pół g.

Obok tego Mathieu i Mosny żądają, aby

niedziela o ile możności wolną była od pracy, co najwyżej można poświęcać na naukę od 6 i pół g. do 7 i pół g. i od 10 i pół do 12-ej, prócz tego wolnym ma być dzień czwartkowy cały, albo też co lepsze wolne popołudnie we wtorki i czwartki, pozwalając jedynie na dwie godziny nauki w porze zimowej.

Wogóle zalecają oni, aby młodzież używała codziennie ruchu na świeżem powietrzu, o ile naturalnie pogoda nie staje temu na przeszkodzie; w razie niepogody młodzież może używać ruchu i rozrywki w salach rekreacyjnych dostatecznie obszernych i należycie wietrzonych. Zajęcia stolarskie i ślusarskie odpowiednie są w porze zimowej, w lecie należy je zastąpić przez ogrodnictwo.

Ciekawymi były również referaty profesora wydziału literackiego w Lyonie Chabot, oraz profesora liceum w Marsylii—Bougrat, oba na temat konieczności poznajomienia rodziców z zasadami hygieny szkolnej, a tem samem pozyskania ich współpracownictwa. Referanci wykazywali dobitnie, że trudne zadanie wychowania wtedy jedynie może być spełnione, jeśli do kooperacyi powołani będą nauczyciele, lekarze i rodziny. Aby zabezpieczyć od chorób, aby ocenić skutki pracy szkolnej, aby obserwować codziennie zmiany, zachodzące w rozwoju fizycznym i umysłowym, niezbędną jest światła pomoc rodziców. Ale istnieje ogromna trudność w pozyskaniu ich, z jednej strony praca zarobkowa, kłopoty życia codziennego niewiele pozostawiają czasu na zajmowanie się dziećmi, większą jednak jeszcze przeszkodę stanowi ciemnota, przesądy i obojętność dla sprawy wychowania. Chabot twierdzi, że zaledwie 15% rodziców okazuje pewne zainteresowanie i poczuwa się do obowiązku pracy wspólnej ze szkołą, nawołuje przeto do zakładania stowarzyszeń złożonych z nauczycieli, lekarzy i rodziców, do urządzania w szkołach wieczorków familijnych dla jednoczenia rodziców oraz odczytów zapoznających z hygieną i pedagogiką, biorąc do pewnego stopnia za wzór istniejący w Anglii związek rodziców „Parents National Educational Union“. W Belgii istnieje również od lat kilku liga mająca za zadanie popularyzacyę wiadomości praktycznych, pedagogicznych i społecznych pomiędzy rodzinami, wydaje ona nawet pismo celowi temu poświęcone. W Stanach Zjednoczonych istnieją stowarzyszenia matek, zmierzające do zapoznania się z kwestyami dotyczącemi pedagogiki i hygieny. Wogóle jednak wszędzie daje się zauważyć słaby ruch w tym kierunku i małe zainteresowanie. Chabot kładzie główny nacisk na to, żeby rodzice wchodzili w skład rady szkolnej i mieli prawo wglądać w życie wewnętrzne szkoły, ma on nadzieję, że w ten sposób rozbudzi się w nich chęć kooperacyi w sprawie wychowania.

Kwestya ta niejednokrotnie już była poruszaną zarówno w prasie pedagogicznej, francuskiej, jak i na kongresach nauczycieli szkół początkowych i średnich we Francyi, można nawet powiedzieć, że od lat paru nie schodzi ona z porządku dziennego, należy przeto spodziewać się, że usiłowania, czynione w tym kierunku, nie będą bezowocne i że rodzice zrozumieją, iż nie wystarcza wydawać pieniądze na wychowanie dzieci oraz wzywać doktora, gdy wywiąże się choroba.

W dalszym ciągu rozpatrywano ważną dla młodzieży francuskiej sprawę wakacyj, na podstawie referatów profesora Bougier i deputowanego Engerand. Dotychczas wakacye trwają dwa miesiące, od 1 sierpnia do 1 października, corocznie jednak w lipcu podczas wielkich upałów dają się słyszeć narzekania zarówno rodziców, jak i młodzieży szkolnej, że jest to pora do pracy umysłowej nieodpowiednia. Tymczasem gdy w roku zeszłym minister oświaty Chaumié rozesłał do rodziców kwestyonaryusz i drogą referendum chciał się dowiedzieć, za czem będzie większość, okazało się, iż na 76,259 odpowiedzi nadesłanych, 36,044 wyraziło się za zmianą daty wakacyj na 15 lipca do 15 września, a 26,491 za utrzymaniem status quo; ponieważ jednak głosowanie profesorów dało rezultat wręcz przeciwny, a mianowicie za utrzymaniem status quo było 5,379, a zaledwie 2,536 przeciw przeto władza, jak powiada dowcipnie Engerand, uważała ze stosowne nie liczyć a ważyć kartki, a referent, inspektor szkolny, wyprowadził wniosek, że profesorzy, będąc zarazem ojcami rodzin, mają większe doświadczenie i podwójną troskę o naukę i o zdrowie uczniów, ich więc głosy muszą być uważane za ważniejsze. Tak więc sprawa przyspieszenia daty wakacyj chwilowo upadła, ale obecnie staraniem Ligi hygieny szkolnej wznowioną została powtórnie i nawet już uzyskała zatwierdzenie częściowe ministeryum oświaty, które w ostatnim, świeżo rozesłanym cyrkularzu zapowiada, iż na rok przyszły wszystkie kursy powinny być do 15 lipca ukończone i uroczyste zamknięcie roku szkolnego ma nastąpić w połowie lipca, poczem rodzice, jeśli zechcą, mogą pozostawić w szkole swe dzieci do 1 sierpnia lub je odebrać, tak jak to ma miejsce od lat 3-ch w znanej, prywatnej szkole paryskiej „Ecole alsacienne“.

Kwestya wakacyj wywołała nader ożywioną i długą dyskusyę, wnoszono bowiem rozmaite projekta, co do należytego wypoczynku młodzieży szkolnej, ostatecznie jednak zdecydowano, aby feryj świątecznych —tydzień z okazyi Nowego Roku i dwa tygodnie na Wielkanoc—nie uszczuplać a jedynie ograniczyć święta okolicznościowe.

W dalszym ciągu na wyróżnienie zasługuje referat dr. Weill—Manton w kwestyi gruźlicy pomiędzy nauczycielami. Po rozpatrzeniu wszechstronnem przyczyn, jakie usposabiają specyalnie w zawodzie nauczycielskim do suchot, referent stawi wnioski następujące:

a) Czystość istotna a nie pozorna lokalu szkolnego, sprzętów, książek itp. *b*) wzbronienie zamiatania lokalu na sucho a zastąpienie przez sprzątanie wilgotne i mycie zarówno podłogi jak i sprzętów conajmniej raz na tydzień; *c*) wzbronienie plucia na podłogę; *d*) zaopatrzenie szkół w dobrą i obfitą wodę; *e*) dezynfekcya sal szkolnych po każdem ich użyciu na zebranie publiczne, wyborcze lub odczytowe.

Po za tem dr Weill-Manton domaga się, aby zarówno uczniowie, jak nauczyciele, a także posługiwacze podlegali zbadaniu przez lekarza, który wystawi świadectwo czy dana osoba wolną jest od gruźlicy lub też nią dotknięta. Świadectwo takie winien też posiadać każdy kandydat przy zapisywaniu się na konkursowy egzamin do wstępu do szkół wyższych. Prócz tego powinny istnieć specyalne komisye lekarskie, do których mogliby się zwracać rodzice z zapytaniem czy obrany przez nich dla dziecka zawód odpowiada jego siłom i zdrowiu. Referat ten nasunął wiele kwestyi do dyskusyi, a mianowicie obecni na kongresie nauczyciele wyrażali, że poddawanie ich peryodycznym oględzinom lekarskim wywoła niewątpliwie gorący protest i opór z ich strony, będzie to bowiem zamachem na ich wolność osobistą, ustanowieniem dla nich jakichś wyjątkowych praw, którym nie podlega żadna inna kategorya urzędników państwowych. Z drugiej zaś strony usuwanie nauczycieli dotkniętych początkami gruźlicy będzie wymagało wprowadzenia do budżetu nader znacznej sumy, niepodobna bowiem pozbawić chorego nauczyciela jego pensyi i nie może ona być niższą nad 1000 fr. rocznie, a ponieważ choroba ciągnąć się może lat kilka, przeto suma ogólna może dojść do znacznej wysokości.

Wreszcie ostatnie posiedzenie Kongresu zajęte było pod kwestyą inspekcyi lekarskiej nad szkołami i wyborem lekarzy na so stanowisko. Referent dr Méry, profesor kliniki chorób dziecięcych, powołując stęn a referatu przedstawione na kongresie hygieny szkolnej w Norymberdzie, a mianowicie doktorów Johanessena, Hueppe i Liebermanna, stawił wnioski następujące:

1) Konieczność badania każdego ucznia z osobna i ustanowienie książeczki sanitarnej.

2) Podział dzieci wedle uzdolnienia i urządzenie w każdej szkole oddziału dla nienormalnych.

3) Wprowadzenie wszelkich środków zapobiegania gruźlicy.

4) Staranny wybór lekarzy szkolnych i odpowiednie ich wykształcenie.

Lekarz szkolny, według dr Méry, po większej części nie odpowiada dziś swemu zadaniu, winien on być obeznany specyalnie z hygieną szkolną, a po za tem być pedagogiem i psychologiem, wtedy jedynie może on czuwać nad rozwojem fizycznym i umysłowym powierzonej swej pieczy dziatwy.

Jak widzimy, kongres ten poruszył wiele spraw ważnych i żywotnych, a ożywione spory przyczyniły się do wyjaśnienia i wszechstronnego rozpatrzenia wielu kwestyj. *Iza Zielińska.*

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Żyd od biedy.

Sekcya robót publicznych ogłasza, że skutkiem licznego wyjazdu z Warszawy ludzi zamożnych wyschły źródła jej dochodów. Postanowiono tedy — jak zapewnia jedna z gazet—zwrócić się do Żydów, których dotąd pomijano. Mają oni dostarczyć bezinteresownych kwestarzów a przez nich—pieniędzy. „Kiedy bieda, to do Żyda“—powiada *Kuryer Codzienny*, wyśmiewając zarówno przymusową czułość, jak powierzenie delegatom izraelskim obowiązku zbierania składek „honorowo“, podczas gdy chrześciańscy pobierają zapłatę. Zasada Montesquieu'go, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje—dając się przerabiać i stosować do najrozmaitszych wypadków—zachowuje słuszność w obecnym. Wszędzie Żydzi mają takie społeczeństwo na jakie zasługują. Jakie stowarzyszenia, związki, instytucye, które ich wyłączają, mogą ich nie lekceważyć, kiedy wiedzą, że nie spotkają się z dumą, która znieważ zapamięta i na późniejsze kiwnięcie palcem nie stawi się z gotowością do usług? Chociaż p. J. Kirszrot-Prawnicki, od pewnego czasu dziwnie nieszczęśliwy w swoich pomysłach, doszedł do wniosku, że sprzymierzeńcami Żydów u nas są tylko „ugodowcy“, zdaje nam się jednak, że tych sprzymierzeńców byłoby znacznie więcej, niż dzisiaj, gdyby stary zakon ofiarował swą przyjaźń nowemu z większą godnością. Gromada ludzka, zarówno jak jednostka, wytwarza sama swą wartość. *h.*

Gdzie się umieszcza biblioteki.

Syn autora *Kirgiza* darował przed kilku laty bogaty księgozbiór swego ojca Płoc-

kowi. Ofiara ta stała się dla zacnego miasta tem, czem dla przysłowiowej baby cielę — niepotrzebnym kłopotem, wymagającym osobnego funduszu na utrzymanie biblioteki, którego żaden nasz gród na taki cel dobrowolnie nie wyznaczy. Jak tam obywatele Płocka opierali się przyjęciu drukowanej bibuły — nie opisano, dość że po jakimś czasie p. Zieliński po raz drugi ją podarował... kapitule katedralnej. Dotąd leży ona w pakach na składzie, ale za „lat kilka" będzie uporządkowana i umieszczona w... Muzeum Kościelnem. Nie potrzebujemy zapewniać, że w tem schowanku spełni ona przepysznie swoje zadanie użytku publicznego, i że myszy przez długi czas będą miały z niej ucztę. Wobec tego niesłusznie zrobiono wyrzut w prasie synowi ofiarodawcy, że nie odesłał kilku pak z cennymi przedmiotami zbioru, gdy mu odmówiono posady bibliotekarza „za skromnem wynagrodzeniem". Nie przypuszczaliśmy, że wnuk Gustawa Zielińskiego potrzebuje takiego zarobku, ale jego odmowa wcale nas nie gorszy, bo czy owe paki pozostaną u niego, czy w Muzeum katedralnem, to dla ogółu wszystko jedno. *g.*

Jeszcze jedna uwaga.

Dziś stoimy na bezdrożu, stoimy i czekamy jakiegoś cudownego znaku, któryby nam wskazał, w którą stronę iść, któryby zwiastował nam przyszłość. Naturalnie niebo nie rozwiera swych wrot i nie zlata z nich żaden ptak, niosący wieści. Sami zaś nie umiemy wybrnąć z zakłopotania i zająć odpowiedniego położenia. Wypadki dziejowe swą brutalną siłą wytrąciły nas z równowagi drzemiącej i pomimo oporu ciągną w wir życia. Dajemy się więc wlec i czekamy cudu—któryby nam wyjaśnił, co z tego wszystkiego będzie. A cudu niema, lecz jest znużenie oczekiwaniem i, co za tem idzie, chęć ponownego, za wszelką cenę, ułożenia się do snu. Ja dotąd nie widzę w naszem społeczeństwie jasnego i wyraźnego zrozumienia swych potrzeb, wiary w swe siły, która pcha bezpośrednio do planowego i wytrwałego dążenia. Zrozumienie to w moich oczach wykazuje tylko jeden odłam, wypowiadający się silnie. Reszta — ciągle się chwieje, probuje przymierza przeróżne kostyumy, słowem cierpi na zawrót głowy, pochodzący z braku pewnego gruntu pod nogami. I dlatego nie wiemy, co czynić, co myśleć i czego się spodziewać. Charakterystycznym objawem tego stanu rzeczy jest, że drobne względnie kwestye chciwie są chwytane, aby choć na krótką chwilę zapomnieć o głośnej sprawie. Ta chroniczna chwiejność staje się coraz większem niebezpieczeństwem dla naszego ogółu. Jest to choroba, z której trudno się wyleczyć, a jednak wyleczyć się musimy, bo zbyt żywotni jesteśmy, aby zamrzeć marnie.

Wszyscy, w jakikolwiek sposób przemawiający do ogółu, obowiązani są wykazywać niezbędność dwu rzeczy: po pierwsze należy posiąść jasny i wyraźny pogląd na położenie i uprzytomnić sobie konieczność planowej i wytrwałej akcyi, nie zrażając się ani niepowodzeniami, ani uciążliwą drogą, ani ciężkimi kryzysami; po drugie należy czuć gorąco niezbędność zdobycia nowych warunków bytu, należy wierzyć w swe siły i nie uledz pokusie przeróżnych fantasmagoryj, wypływających z pragnienia prędkiego tryumfu a usypiających czujność i baczność.

Są to dwie nasze potrzeby psychiczne, które mogą nas wyrwać z dzisiejszej chwiejności i uczynić zdrowymi, silnymi ludźmi, godnymi innej doli. Cherlacy nie mają prawa skarżyć się na swój los. *a.*

Kwestya szewcka.

Trwająca od pewnego czasu zmowa czeladników szewckich dała prasie codziennej nowy powód do harców patryotycznych. Piszą ciągle o napaściach, rozbojach, strajkujących malują jako bandy opryszków, ich żądania przedstawiają, jako chęć wyzysku i t. d. Przy tem wszystkiem powołują się na umowę, mającą być świętą po wszystkie czasy. Dotąd jednak panowie majstrowie nie wyjaśnili, czy sami wypełniają przyjęte niedawno warunki. Następnie pomijany jest systematycznie szczegół wyraźnie postawiony w ogłoszonym liście czeladnika szewckiego. Czytamy tam: „Bezrobocie wymierzone jest przeciwko tym przedsiębiorcom (tym, t. j. kupcom i przedsiębiorcom stykającym się z robotnikami wyłącznie przy pomocy pośredników) i do nich stosuje się żądanie, aby zakładali warsztaty, żeby robota bezpośrednio dostawała się robotnikowi tylko od przedsiebiorcy, lecz nie za pośrednictwem osób trzecich". Zresztą nie wiem, czy koniecznem jest utrzymanie małych warsztatów, gdzie przeważnie pracują chłopcy „z bardzo małym wyjątkiem" źle odziani, źle odżywiani, których zaprzęgają do roboty, posługując się jednym lub dwoma czeladnikami. Bezwątpienia pewne grono ludzi utraciłoby zarobek przez usunięcie pośrednictwa, lecz to nie zmniejsza konieczności ograniczenia samowolnego wyzyskiwania pracy przez zbyteczne pośrednictwo. *xy.*

Dobry zwyczaj.

Od niedawna nasze pisma codzienne zaprowadziły dobry zwyczaj podawania, przy wiadomości o nieporozumieniu, żądań, będących przedmiotem pertraktacyi. Coprawda też same pisma w swych namiętnych przemówieniach na cześć pracobiorców nie uwzględniają własnych informacyj. Lecz to już ich sprawa. Chciałbym tylko, aby czytająca dzienniki publiczność więcej zwracała uwagi na te suche na pierwszy rzut oka informacye. Z nich daleko więcej dowiedzieć się można, niż z oświetleń przeróżnych publicystów. Są tu żądania aż 9-godzinnej pracy bez przerwy (biorę ostatnie żądanie cukierników), odpoczynku niedzielnego, pensyi minimalnej aż 20 rubli, prócz utrzymania i t. d. Prawda, jakie przewrotowe zachcianki! Ludzie chcą odpocząć czasem i pracować tylko 9 godzin bez przerwy. Zaiste należy ich poskromić, bo inaczej świat nasz runie!

Informacye te mówią same za siebie. Dlatego poprzestaję, na przypomnieniu ich ważności i podkreśleniu dobrego zwyczaju naszych dzienników. *z.*

Zadarmo.

Ciekawy szczegół podaje *Kuryer Codzienny.* Oto okazało się, że materyał używany w cyrkułach do bezpłatnego szczepienia ospy jest zupełnie niezdatny do użytku. Nazywa się to—dbałością władz miejskich o stan zdrowotny miasta. Rozlepiają łokciowe ogłoszenia — i szczepią li tylko dla szczepienia. Że ospa się nie przyjmuje winien gmin, który tak niechętnie poddaje się opiekuńczej pieczołowitości, jaką nad nim roztaczają. Niedyskretne oświadczenie lekarzy wywołało naturalnie utworzenie komisyi. Ospa zapewne poczeka na rezultat jej obrad. Zabawi się w rozmowę z cholerą. Obie te epidemie rozumieją, że komisye—muszą się zastanowić. *a.*

BADANIA NAUKOWE

ELIZEUSZ RECLUS.

Zaiste, dziwne koleje przechodzą synowie pastorów protestanckich! Ewangelię samowładnej indywidualności, kruszącej wszelkie przeszkody rozwoju, bezwzględnie, bezlitośnie niosącej w ofierze ideałowi przyszłej doskonałości „i siebie i bliźniego swojego"—piorunowym głosem oznajmił światu syn pastora saskiego, Fryderyk Nietzsche. Ewangelię braterstwa wszechludzkiego i społeczeństwa opartego na dobrowolnej, wzajemnej pomocy wszystkich ludzi jednego narodu i wszystkich narodów na ziemi — głosił szczerym głosem, popierał walecznym czynem i udowodniał głęboką wiedzą syn pastora gaskońskiego ze wsi Sainte Foi la Grande: Elizeusz Reclus. Ale Nietzsche po tytanicznych walkach umysłowych legł bezwładny i długo potem jeszcze żył jako ciało bez duszy, zanim śmierć zakończyła tę bolesną a nudną trawestyę jego dawniejszego życia. Tymczasem Elizeusz Reclus, pogodniejszy i szczęśliwszy, przeżył trzy czwarte stulecia, pracował i błogosławił swoją pracę, i zgasł, jak słońce wieczorne.

Jak słońce. Bo też słońca dużo było w życiu tego wielkiego miłośnika ludzi, dla którego praca altruistyczna była niewyczerpanem źródłem szczęścia. Wszak słyszałem z jego własnych ust, że najszczęśliwszym okresem jego życia był czas, kiedy po upadku komuny paryskiej wraz z setkami swoich towarzyszów znajdował się w więzieniu—i uczył swoich spółwięźniów. Bo wtenczas, tłomaczył mi, zgoła niepotrzebowałem się oglądać na żaden zarobek; uczyłem moich braci dla samej przyjemności głoszenia prawdy!

A jednak oczy tego człowieka, który w więzieniu umiał być szczęśliwym, znały widoki piękniejsze od więziennych murów. Wszak kiedy go pojmały wdzierające się do Paryża wojska wersalskie, Elizeusz Reclus już był owym sławnym geografem, który podróżował po najodleglejszych kresach świata, aby się przygotować do swojego wiekopomnego dzieła, które później przez dwadzieścia kilka lat wydawał z niezłomną regularnością. Zwiedzając narody wszelkiej cery, cywilizowane i dzikie, dla wszystkich miał szacunek i miłość. Zacięty, a nawet nieco sekciarz w dziedzinie zagadnień polityczno-społecznych bieżącej doby, jako geograf był idealnie bezstronnym. Dla nikogo międzynarodowość nie była łatwiejszą, niż dla tego człowieka wyjątkowego, którego narodem była ludzkość, którego ojczyzną była ziemia. Jeśli czasem mówił o „wielkiej ojczyźnie aryjskiej" (tak bowiem nazywał Europę), to czynił to niemal w takim tonie, w jakim ktoś z nas mawia o „swoich kochanych Kujawach" albo o „swojem rodzinnem Podlasiu". Dla niego Europa była jakimś partykularzem, bardzo dziwacznym, ale miłym, bo swojskim; kraje pozaeuropejskie zaś—właściwym światem. Francya wraz z Belgią była dla niego tem, czem dla Płoczczanina jest Płock, a dla Siedlczanina Siedlce; a o wyprawie do Nowej Grenady lub do Kambodży opowiadał z daleko większą skromnością, niż przeciętny Warszawiak o wycieczce na Babią Górę.

A jednak mimo tej, rzekłbyś teleskopowej szerokości widnokręgu, Elizeusz Reclus nie był bynajmniej niwelatorem. Był zwolennikiem równości praw, ale wrogiem

ednostajności. Niezmiernie daleki od owego brutalnego a płytkiego poglądu, który prawo do bytu przyznaje tylko zwycięzcom, przeciwnie był najgorliwszym obrońcą każdego narodu, dążącego do rozwoju samodzielnego. Dla niego rozmaitość narodowa była rękojmią bogactwa kulturalnego ludzkości. Gdziekolwiek na świecie pod grubą warstwą popiołu tliły się iskry jakiejś odrębnej kultury narodowej, Elizeus Reclus odkopywał te iskry ze świętym zapałem. Wystarczy przeczytać w jego „Nowej geografii powszechnej" prześliczne ustępy o Litwinach. A chociaż Polakom dużo gorzkich prawd powiedział, to jednak zgoła nie tail się ani ze swojem współczuciem dla losów polskiego narodu, ani z sympatyą swoją dla dążności polskich.

Geografia była dla niego *nauką o ziemi jako siedzibie ludzkości*. Głęboka wiara w decydujący wpływ środowiska geograficznego na historyę narodów łączyła się u niego z głęboką niewiarą w wyższość wrodzoną jakiejkolwiek rasy. Posiadając poważną wiedzę antropologiczną, ściśle zdawał sobie sprawę z dziedzicznych różnic fizycznych, które zachodzą między pojedynczemi rasami ludzkości, ale sumiennie wystrzegał się dowolnego nazywania typów *odmiennych* typami *niższymi*. Braterstwo wszystkich ludzi było dla niego nie doktryną, lecz prawdą życiową, którą bezpośrednio odczuwał. Nie dziw, że był mistrzem w nawiązywaniu pokojowych stosunków nawet z plemionami najbardziej wojowniczemi. Raz mu naprzykład wypadło zwiedzić góralskie plemiona Atlasu marokańskiego. Ale te plemiona i między sobą i z mieszkańcami nizin żyją na stopie wojennej; wciąż odradzająca się *vendetta* oddziela ich od sąsiadów kompletniej, niż mur chiński. Jedynymi ludźmi, którzy swobodnie krążą od plemienia do plemienia, są ubodzy żydzi-handlarze; ci bowiem do żadnej drużyny wojennej nie należą, żadnej broni nie dzierżą, więc też i z nimi nikt nie wojuje, nikt z nimi krwawych obrachunków zemsty nie załatwia. Więc Reclus przebrał się za takiego żyda. „Przykrem tylko było", opowiadał mi z figlarną miną młody Paryżanin, jego uczeń, „że w tym celu trzeba się było przyodziać w łachmany, a te łachmany miały licznych mieszkańców..." W takiej to paryasowej postaci nieraz chodził po świecie wielki przyjaciel ludzkości!

Najsłabszą stroną Reclusa były kwestye administracyi publicznej. Na tym punkcie zajmował stanowisko czysto dogmatyczno-negacyjne; nie uznawał możliwości pożytecznego przymusu. A nie uznawał dlatego, że jego patryotyzm wszechludzki zbyt się oburzał na ubliżające przypuszczenie, żeby istniało cośkolwiek, czegoby dobrowolne wysiłki ludzi zespolonych braterstwem dokonać nie potrafiły. Pod tym względem złagodniał zresztą nieco pod koniec życia; liczne rozczarowania wywarły na nim pewne wrażenie, a zresztą wspólna praca przy „Nowym Uniwersytecie" brukselskim zbliżyła go poniekąd do owych zwolenników pożytecznego przymusu, których dawniej tak gwałtownie zwalczał...

Elizeusz Reclus miał starszego brata. Był nim Eljasz Reclus, zasłużony etnograf, pełen poezyi, humoru i głębokiego zrozumienia psychologicznego badacz wierzeń religijnych wszech narodów. Był to nieco inny człowiek, niż Elizeusz. Wszak Elizeusz — to prorok ognisty, entuzyazmujący tysiące uczniów, młodzieńczym swym optymizmem zachęcający ich do czynu, do walki. Eljasz stał na uboczu, czyli raczej siedział na uboczu, i to możliwie wygodnie; boć przecież należał mu się odpoczynek po siedemdziesięciu latach pracowitego życia. Był to uśmiechnięty pesymista. Zawsze był pesymistą, od pierwszej młodości—z wyjątkiem owych krwawych trzech miesięcy w roku 1871, kiedy i on był bojownikiem... Kiedy go poznałem, już dawno, dawno zaniechał był walki. Rozumiał wszystko, i na wszystko się pobłażliwie uśmiechał i dobrodusznie chichotał. Bywało, że znękany surowością dogmatów Elizeusza, uciekałem do Eljasza, niby do dobrotliwego, przebaczającego spowiednika. Interpelowałem go raz, czy można przebaczyć człowiekowi, który rozwijając swoje zdolności naukowe lub artystyczne, zaniedbuje sprawy społeczne? A ojciec Eljasz, otulony ciepłym kołnierzem futrzanym, odrzekł z cichym, nieco smętnym uśmiechem: „Écoutez, il y a Rückert qui a dit: *Wenn die Rose selbst sich schmückt, schmückt sie auch den Garten...*" *)

Teraz już obaj nie żyją, Eljasz i Elizeusz. A jednak zdaje mi się, że ich widzę. I zdaje mi się, że na obliczach tych dwóch niezmiernie dobrych, niezmiernie skromnych ludzi po pierwszy raz jaśnieje duma, i że słyszę, jak obaj przemawiają do nas: „Żyjcie i pracujcie, jak my!"

Władysław Krakowski.

A jako uzupełnienie obrazu duchowego zmarłego przytaczamy jeszcze następujące o nim wspomnienie:

Nie panegiryk pochwalny chcemy pisać dla Elizeusza Reclus, który gardził zawsze wszelkimi zaszczytami, unikał sławy i według swej woli był pogrzebany w ciszy i spokoju.

Nie szumny nekrolog mamy zamiar dlań kreślić, bo przyszłość tylko, nasi następcy zrozumieć zdołają takich proroków, takich apostołów sprawiedliwości społecznej.

Nie myślimy także opisywać jego życia, lub chociby tylko dać sprawozdanie z jego dzieł i broszur, na to ramy artykułu za ciasne.

Pragnęlibyśmy jedynie zwrócić uwagę czytelnika na niektóre wybitne cechy charakteru i działalności Reclus'a, a może one zachęcą kogo do bliższego poznania, do przyswojenia polskiej literaturze nietylko wielkich jego dzieł jak „Géographie universelle", „L'Homme et la Terre", ale także krótszych, znakomitych, nieśmiertelnych utworów jak: „A mon frère le paysan", L'Evolution et la Revolution", „Origines de la religion et de la morale" i t. d.

Musiał to być człowiek niepospolity, wybiegający po nad szare tłumy znikomych wielkości, skoro wszystkie pisma, zaczynając od nacyonalistycznych, jak „Intransigeant", a kończąc na oficyalnych, jak „Temps", pamięci Reclus'a oddały hołd, zaznaczając jedynie, że jego ideałów społecznych nie podzielają, zowiąc je utopią i marzycielstwem.

Czyny jego, całe życie, odpowiadały jego słowom i pismom.

Czy będąc tułaczem, studentem na obczyźnie, za czasów cesarstwa, czy walcząc przy oblężeniu Paryża, jak prosty żołnierz gwardzista, czy wydając w r. 1871 tętniący życiem dziennik „Le cri du peuple", czy jako więzień i zesłaniec, czy jako uczony i profesor w nowym uniwersytecie w Brukselli, zawsze i wszędzie pozostał wierny swym ideałom, nigdy nie wchodził w kompromisy, ani ze swem sumieniem, ani z wrogami swych przekonań.

Zwalczając własność prywatną, ograniczył swe potrzeby do minium i wszystko, co nie było mu niezbędnem, oddawał biednym. Licznych, złotych medali, przysyłanych mu wbrew jego woli za niezrównane prace naukowe, nie zachowywał dłużej nad dzień jeden. Będąc przeciwnikiem sakramentu małżeństwa, zarówno w formie religijnej jak cywilnej, sam z największą prostotą pobłogosławił swym dwom córkom, wychodzącym za mąż według własnego upodobania. A gdy prasa zarzucała mu, że on swą osobą tylko zastąpił władzę kościelną i świecką, wtedy z oburzeniem powiedział: „Nie! ani mi to przez myśl nigdy nie przeszło. Młodzi ludzie dobrali się i połączyli całkiem niezależnie odemnie, a jeśli prosili mię, ażebym do nich przemówił, to dlatego jedynie, że widzieli we mnie swego najlepszego i najbliższego przyjaciela. Do nich jednak tylko należy odpowiedzialność za czyny. Mówicie, że za ich przykładem pójdą inni. Jestem tego pewien, gdyż oni żyją prawdą, szukając uświęcenia swych postępków nie w artykułach karnego lub cywilnego kodeksu, lecz w swem własnem sumieniu".

Elizeusz Reclus to nie Jaurès, co pomimo swej wolnomyślności zgadza się na religijne wychowanie swej córki i doprowadza ją do pierwszej komunii, to nie ortodoksyjni marksiści, którzy uważają religię za rzecz prywatną, podobnie jak używanie tytułów, lub prowadzenie interesów giełdziarskich.

Szedł on ciągle naprzód i nigdy nie zboczył.

Leżą dziś przed nami roczniki tygodnika „Temps nouveaux", którego do końca życia był współpracownikiem... bezpłatnym. Z młodzieńczym zapałem, z żelazną logiką bronił swych idej i odpierał zarzuty. Przed naszemi oczami stoi jeszcze sędziwy, zadyszany starzec, który przed kilku miesiącami przybył tu umyślnie z Brukselli, ażeby przyjąć udział w zebraniu. A ostatni numer znanego pisma satyrycznego „L'assiette au beurre" zawiera kilka jego aforyzmów, mówi on tam: „Jako ludzie wolni, gdziekolwiek jest nasza ziemia rodzinna, nie mamy się co uskarżać na knowania naszych wrogów. Oni czynią, co chcą dla swej własnej korzyści, a my jedną tylko odpowiedź dać im winniśmy, działając bez nich i przeciw nim tak, jak uważamy za pożyteczne dla dobra ogólnego... Umiejmy działać zgodnie dla wyzwolenia wielkiej ojczyzny, która sięga aż po końce świata, wszędzie gdzie są panowie i uciśnieni.,."

A kochał on ludzkość, kochał świat i ludzi.

Nie było to jednak u Elizeusza Reclus sentymentalizmem zdawkowego poety lub czczą deklamacyą wielu społeczników sekciarzy, ale głębokiem, szczerem uczuciem, przejawiającem się w każdym jego czynie, na każdej niemal stronicy wiekopomnych dzieł jego. Ktokolwiek miał sposobność poznania Reclus'a, a przystęp do niego był łatwy, nie gardził i najbiedniejszymi i najciemniejszymi, — każdy na długo pozostawał pod czarem jego słów i jego wzniosłych myśli. Nie był on mówcą, nie porywał na razie, a jednak przykuwał uwagę,— człowiek czuł się przy nim lepszym, sprawiedliwszym, silniejszym. Umiał on odkrywać przed słuchaczami nowe horyzonty, rozniecać w nich szlachetniejsze instynkty, niweczyć przesądy, rozszerzać widnokrąg myśli, dodawać hartu, energii.

Uwielbienie dla wszechświata i życia, niezachwiana wiara w postęp, przyszłą wolność i sprawiedliwość przebijają nietylko w jego mowach, artykułach i broszurach treści społecznej, ale również w jego geografii i w ostatniem jego dziele „Ziemia i człowiek". Niema dla niego żadnych ras niższych, wszyscy mają jednakie prawo do życia, a nagromadzone mrówczą pracą tysiące faktów pozwalają mu wysnuć myśl ogólną, przewodnią jego życia i dzieł: „Wszędzie, gdziekolwiek się znalazłem, byłem jak u siebie, w mym kraju, wśród ludzi—swych braci. I wszędzie mnie przykuwało uczucie sympatyi i szacunku dla wszystkich mieszkańców świata całego—tej wielkiej ojczyzny. Czyż na tej ziemi, która jest ziarnkiem piasku w pośród bezmiaru przestrzeni, warto się wzajemnie nienawidzieć?..."

*) „Słuchajcie, wszak Rückert powiedział: Gdy się róża sama stroi, ogród stroi sobą..."

Elizeusz Reclus był nietylko znakomitym geografem,—był to również niezwykle silny charakter, apostoł nowych idej, które dziś jeszcze są niezrozumiałe dla tłumu, ale kiedyś w przyszłości będą uznane.

Dr. Józef Zieliński.

Paryż, w lipcu.

LITERATURA I SZTUKA

JOHAN BOJER.

Hvorfor braender denne Trang til Ret som en vaeldig Flamme i vor Sjael?—(Brutus).

Czemu w duszy naszej płonie ta żądza sprawiedliwości, niby potężny płomień?

Ten to potężny płomień, żarząc się w duszy młodego autora, wyrzuca od czasu do czasu snop iskier w postaci utworu, który siłą uczucia porywa a głębią myśli przykuwa. Naturalną rzeczy koleją rozpaliły najpierw Jana Bojera najjaskrawsze błędy i fałsze społeczne, które też wytknął w pierwszych swoich pracach a mianowicie w powieści p. t. *Moder Lea* (Matka Lea) wydanej r. 1900 i w *En Pilgrimsgang* (Pielgrzymka) w r. 1902.

W pierwszej uderza jeszcze niewprawna w budowaniu ręka, brak artyzmu, rozwlekłość obok małej plastyki. Znać, że młody autor miał zbyt dużo do powiedzenia ze szkodą dla charakterystyki i prawdziwego życia wprowadzonych osób. Pierwsze płody są niejako urzędowem przedstawieniem się; autorowie pragną, aby społeczeństwo wiedziało, kogo ma przed sobą, co myślą, co czują—to też pierwsze utwory, będące wylewem najwewnętrzniejszego przekonania, zawsze sprawiają dobre wrażenie, chociażby nawet miały pewne braki.

W powieści *Moder Lea* wystąpił Jan Bojer z pewnego rodzaju polemiką względem największego z autorów, piszących w narzeczu ludowem, Arnego Garborga i jego adherantów, potępiających wszystko, co pochodzi z miasta, co jest wyższe kulturą, uwielbiających bezkrytycznie chłopa, stare zwyczaje i obyczaje, ba, nawet nałogi, dlatego jedynie, że są swojskie. Jan Bojer należy do dawnej szkoły, pisze językiem norweskim, literackim, ale jest szczerze narodowym w kreśleniu życia własnego społeczeństwa bez upiększeń i zaślepienia.

W dwa lata później napisana powieść *En Pilgrimsgang* posiada wszystkie zalety poprzedniej a więc zajmujący temat, pogłębienie psychologiczne, prawdę i głębokie uczucie, nie mając ani jednej z wad, które tamtą obniżały. Pielgrzymka ta—to nie wyprawa do ziemi świętej, lecz smutna tułaczka oszalałej z bólu matki, szukającej naprożno po świecie dziecka, którego się zaparła, które sprzedała, namówiona obietnicą szczęścia i dostatku dla niego.

Autor wykazał niepospolity talent, zarówno w obrazach przytułku dla położnic, który ludzkie współczucie dla cierpień i niedoli wzniosło a ludzkie niedbalstwo i obojętność uczyniły postrachem potrzebujących go—jak w opisach męczarni duszy matki, skoro sobie uświadomiła całą ohydę czynu opuszczenia dziecięcia, które powinna była sama wychowywać, bo miłości matki nikt mu nie zastąpi.

Oba te utwory posiadają dużo zacięcia polemicznego. Gorąca, młodzieńcza natura nie może powstrzymać się od piętnowania wszystkiego, co w urządzeniu społecznem jest złe lub głupie. Życie jednak uczy prędko—w krótkim też czasie począł Jan Bojer rozumieć ludzi i ich czyny, a kto rozumie, ten nie może się oburzać, ani nienawidzieć.

Takiem dziełem dojrzałego i głębokiego umysłu jest w rok później wydana powieść p. t. *Troens Magt* (Moc przekonania). Przeprowadza tu autor nadzwyczaj subtelnie przejścia duszy ludzkiej, w której poczucie winy pod wpływem różnych okoliczności zmienia się w pewność wprost przeciwną.

Bogaty chłop, tak zwany Storbonde, (posiadacz wielkiej własności, u nas typ mało znany) mimo przyrzeczenia danego żonie, iż nigdy więcej nie będzie poręczycielem licznych przyjaciół i znajomych, w przystępie dobrego humoru, po sutym obiadku dał się „naciągnąć”. Nieszczęściem przedsiebiorca, któremu podpisał weksel na kilka tysięcy, bankrutuje. Z obawy przed żoną, pierwszemu, wyrażającemu ubolewanie, że i on poniesie stratę, Norbyen bez złej myśli odpowiada: Ja nic nie podpisywałem. Jeszcze nie dokończył zdania, gdy wieść o fałszerstwie, nie wiadomo jak i kiedy, rozeszła się po okolicy. W pierwszej chwili budzą się w nim wyrzuty sumienia, chciałby cofnąć nieopatrznie wyrzeczone słowa, które mają zgubić nieszczęśliwego człowieka, ale zawsze staje coś na przeszkodzie... wreszcie już i wstyd takiemu poważnemu człowiekowi przyznać się do lekkomyślnie wypowiedzianego zdania. Tymczasem druga strona zachowaniem się swojem poniekąd paraliżuje dobrą wolę potężnego chłopa, gdyż pewny swojej niewinności Wangen oskarża Norbyena o oszczerstwo, a gdy sprawa zapowiada się niekorzystnie, rzuca się, podkupuje świadków, urządza wrogowi socyalistyczną demonstracyę a w końcu, widząc, że niema nikogo, kto by stwierdził jego niewinność, fałszuje list jakiegoś niby przyjaciela z Ameryki, mający dowieść winy jego wroga, czem gubi się do reszty. Jeszcze na ostatecznej rozprawie budzi się w Norbyenie żal, ale oskarżyciel, zapytany, gdzie podpisywano weksel, twierdzi stanowczo, że w Grand hotelu, a Norbyen jako żywo nigdy nie podpisywał nic w tym hotelu — jeżeli więc to kłamie, mógłby i podpis sfałszować” i z czystem sumieniem utrzymuje, że weksla nie podpisał, wtrącając swojem oświadczeniem ojca rodziny do więzienia.

Objawił się nam tu Jan Bojer, jako bystry psycholog: przeniknął nawskroś duszę tego patryarchy rodu, powszechnie poważanego męża, prawego zresztą, którego wielu się bało, ale on nikogo — chyba żony. Nie była to jednak bojaźliwość męża pod pantoflem, lecz wstyd przed słabą kobietą, której on, mężczyzna, nie dotrzymał słowa. Z takim człowiekiem potulnością, pokorą, pochlebstwem można zrobić wszystko, ale nic, gdy się żąda, domaga, a już groźba budzi w nim najgorsze instynkta. Temu silnemu charakterowi przeciwstawił autor młodego przedsiebiorcę, Wangena, lekkomyślnego, słabego, lecz dość sympatycznego utracyusza. Ze względów artystycznych nie przeprowadził Bojer w powieści procesu duchowego tego bądź co bądź uczciwego człowieka, przeobrażającego się pod wpływem rozpaczy w zbrodniarza—byłoby to bowiem poniekąd powtórzeniem, natomiast doskonale odmalował w nim „niby działacza”, który swoją czysto osobistą sprawę identyfikuje z kwestyą społeczną i spór swój z Norbyenem podsuwa pod piękniej brzmiące hasła walki kapitału z pracą. Równie subtelnie są zaobserwowane przejścia w duszy żony Wangena, która, poświęciwszy mu wszystko, nie chce opuścić go do ostatniej chwili, chociaż ta jej wierność sprowadza śmierć jej ojca, przez zięcia pozbawionego nietylko mienia, lecz dachu nad głową. Ona nie wierzy ślepo i w niej budzą się pewne wątpliwości, lecz obraz stosunku jej z mężem pod wpływem walących się nań nieszczęść jest psychologicznie nadzwyczaj prawdziwy.

Wielką siłą dramatyczną odznaczają się szamotania się syna owego bogatego chłopa, Einara, między poczuciem obowiązku wobec prawdy a synowskiem przywiązaniem. Bawiąc w mieście na studyach, dowiedział się on o całej sprawie; pamięta dobrze, że ojciec, wróciwszy owego pamiętnego dnia do domu, zwierzył mu się, prosząc jednoczeście o zachowanie tajemnicy przed matką, że dał się namówić do podpisania weksla. Einar, przypuszczając, że ojciec może zapomniał, pisze list, w którym dokładnie przypomina mu wszystko a gdy to okazało się bezskuteczne, jedzie do domu. Urok życia rodzinnego, przywiązanie, okazywane mu przez wszystkich, wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa osłabiają postanowienie nawet publicznego świadczenia przeciw ojcu, gdyby tego zaszła potrzeba. Zdecydowany po długiej walce wewnętrznej na zerwanie w takim razie z rodziną, zjawia się na sali rozpraw. Widok matki, uśmiechającej się do niego, spokojnej o los męża znów wywołuje w nim wahanie, a kiedy sędzia zwraca matce uwagę, że, będąc świadkiem, nie powinna siedzieć między publicznością, odczuwa on to jako pewnego rodzaju publiczną naganę, udzieloną matce, i nie może się zdobyć na dorzucenie jeszcze jednej obelgi, jaką byłoby świadectwo jego przeciw ojcu. Wybiega więc z sali, pozwalając na zasądzenie niewinnego.

Powieść kończy wspaniały, pełen gorzkiej ironii obraz uznania i hołdu, składanego przez blizkich i dalekich Norbyenowi z powodu tryumfu jego niewinności.

— Tylko Einara—mówi autor—ogarnęła zimna powaga i poczęły w nim piętrzyć się coraz liczniejsze i różnorodniejsze wątpliwości...

— Zdało się, jakoby wszystkie najlepsze uczucia ludzkie i ideały zebrały się tu dzisiejszego wieczora, aby uczcić ojca. A on sam nie śmie już myśleć o tem, czy ojciec, siedzący tu, jest winien, czy też nie. A gdyby?... w takim razie więc wszystkie najświętsze uczucia i ideały ludzkie są zupełnie ślepe tak, że równie łatwo można ich użyć do upiększania zbrodni, grubego kłamstwa... Czy tak? Chyba niemożliwe!

...A jeżeli..? czyż nie może być usprawiedliwionem, gdy ludzie działają w dobrej wierze? Bo przecież fakt pozostaje faktem—jeżeli tedy wieńczą zbrodniarza a niewinnego wtrącają do więzienia, staje się przecież ta dobra wiara czemś najstraszniejszem? Gdyż popełnili te niecne czyny w bogobojnem poczuciu czystego sumienia.

Ta ostatnia myśl była autorowi natchnieniem do napisania następnej pracy tj. tragedyi p. t. *Brutus.*

Złączone przed rokiem towarzystwa wydawnicze w Kopenhadze a nianowicie Gyldendalske Boghandel i Nordiske Forlag wydały około Bożego Narodzenia katalog najnowszych swoich wydawnictw, w którym autorowie sami piszą o swoich książkach. Otóż Jan Bojer, zapowiadając najbliższą pracę, wyraził się, że będzie to dalszy ciąg powieści *Troens Magt* „dzieło, którego przedmiotem będzie tak zwane czyste sumienie, mojem zdaniem, najniebezpieczniejszy, najniedorzeczniejszy i najbardziej podległy wpływom kompas, którym się człowiek może kierować”.

Jak się łatwo domyślić, bohaterem tragedyi jest Brutus starszy, republikanin, skazujący na śmierć własnych synów. Widzieliśmy już w ostatniej powieści podobne położenie dramatyczne, walkę duszy, postawionej między poczuciem obowiązku dla

najświętszych ideałów prawdy i sprawiedliwości a uczuciem rodzinnem — tu jest ona podstawą pięcioaktowej tragedyi. Osnowy przypominać niema potrzeby, znaną jest zbyt dobrze każdemu. Brutus wie, że jeżeli w ukochanym jego Rzymie ma panować prawo, muszą mu wszyscy obywatele być ślepo posłuszni a więc i on — skoro tedy właśni jego synowie popełnili zdradę, muszą ponieść śmierć, bo prawo zdradę śmiercią karze.

Dziwnym zbiegiem okoliczności utwór, poczęty z pobudek czysto artystycznych, stał się obecnie aktualnym w Norwegii. Nasuwa się też przypuszczenie, że formę dramatyczną nadał mu autor pod wpływem nurtującego już w ojczyznie jego wrzenia, którego skutkiem było zerwanie Unii ze Szwecyą. Tembardziej więc zdumiewa śmiałość i pewność w budowie sztuki, dające świadectwo wielostronności talentu autora, dotąd pierwszorzędnej siły w zakresie powieści, nowel, baśni, których wyszedł zbiorek p. t. *Hvide Fugle* (Białe ptaki) i obrazków, zebranych w tomik p. t. *Gamle Historier* (Stare historye).

Nam żałować należy, że autor tragedyę swoję przeniósł w odległe czasy, przyczem ucierpiała nieco żywa charakterystyka osób i środowiska, które tak znakomicie umiał odtworzyć w powieści *Troens Magt*. Dało mu to jednak możność swobodniejszego wypowiedzenia swoich myśli, gorętszego wezwania do narodu, by wszelką prywatę składał na ołtarzu ojczyzny.

I podobnie, jak Brutus, chociaż czuje, że „prawo jest okrutne”, wykonywa je, bo ono jest święte—autor nie cofa się przed prawdą, „którą bogowie uczynili bólem” i z cierpieniem w duszy głosi ją ludowi swemu dla jego dobra i przyszłej chwały.

Józefa Klemensiewiczowa.

Życie publiczne w Rosyi.

Na smutną nutę rozpoczęły swój artykuł wstępny *Ruskija Wiedomosti* w ostatnim numerze. Wieje z niego pesymizm i rozczarowanie wobec biegu wypadków w Rosyi, która znajduje się w odmęcie chaosu i na drodze zupełnego rozprzężenia:

„Po dniach radości, na wieść o rozpoczętych rokowaniach pokojowych, dążących do przerwania wojny, nastąpiły znów dni rozczarowania, które się odbiły przedewszystkiem na papierach państwowych. Renta, notowana ostatnio $86\frac{1}{2}$, znów spadła do $74\frac{3}{4}$, ożywienie na giełdzie ustąpiło miejsca apatyi, wszystkich ogarnęła znów niewiara do dnia jutrzejszego, we wszystkich sercach zaległa trwoga. Najkorzystniejsze przedsiębiorstwa nie nęcą dziś nikogo, cudzoziemcy odmawiają kredytu najbardziej solidnym firmom, co grozi nowemi, wielkiemi bankructwami, nowemi, milionowemi, stratami.

Zaiste, czyż można z otuchą spoglądać w przyszłość najbliższą, kiedy, w ślad za przyjęciem deputacyi moskiewskiej, otwierającej, jak się zdawało, nową erę w naszej polityce wewnętrznej, wyzwalającej nadzieję rychłego zwołania przedstawicieli narodu, zaczęło się bezlitosne prześladowanie gazet, które powtórzyły jedynie to, co mówili deputaci moskiewscy; kiedy, zamiast zniesienia wzmocnionej ochrony i całego szeregu praw wyjątkowych, w wielu miejscowościach ogłoszono stan oblężenia, przyczem zaburzenia nietylko słabną, lecz przeciwnie, wzmagają się. Wypadki w Łodzi, o których trzeba się informować z gazet zagranicznych, są dotychczas niewiele wyjaśnione; jeszcze mniej jest zrozumiałe to, co się wydarzyło w Odesie i wielu innych miastach; z tych więc względów niewiadomo, w jakim stopniu wywołuje to konieczność zastosowania praw czasu wojennego.

Niema prawie dnia, aby, nakształt ptaków złowieszczych, nie przelatywały nad Rosyą wieści, dowodzące, że zmurszały ustrój nie jest w stanie zapewnić krajowi spokoju wewnętrznego. Bo czyż można mówić o spokojnym biegu życia ekonomicznego, o normalnym międzynarodowym i wewnętrznym handlu, kiedy całym warstwom społecznym grozi zupełna ruina, kiedy przemysł upada, kiedy dziesiątki tysięcy robotników nie mają pracy, ludność wiejska zaczyna się burzyć i zagraża spokojowi całego państwa? Czyż można spodziewać się, że życie ekonomiczne popłynie normalnym korytem po wydarzeniach w Odesie, Łodzi i Warszawie?

Życie przemysłowe ustaje, handel upada, kredyt staje się coraz trudniejszy, liczba ogłaszanych upadłości będzie się szybko zwiększała, wszędzie zaczną się pojawiać gromady pozbawionych kawałka chleba robotników, a takim ludziom, jak wiadomo, nic nie zależy na utrzymaniu porządku. Nadchodzi chwila, kiedy mimowoli nasuwa się myśl, aby ratować to, co jeszcze da się uratować, kiedy wielu ucieka z miast, rzuca na los szczęścią swe majątki nieruchome, wywożąc za granicę kapitały.

Czy długo w takich warunkach może istnieć kraj bez narażenie się na zupełne bankructwo materyalne?

Rozpędzić tłum bezorężny nie jest rzeczą trudną, lecz kiedy ulega zatamowaniu normalny bieg życia przemysłowego i robotnicy pozostają bez zajęcia, wówczas środki charakteru policyjnego są niedostatecznie. Im dłużej biurokracya będzie usiłowała zatrzymać w swych rękach władzę, im wolniej będzie trwał proces organizacyi przedstawicielstwa narodowego—tem trudniej będzie uspokoić kraj i zapobiedz nieuchronnemu bankructwu.”

„Syn Otieczestwa pisze:

„Nie omylimy się chyba, twierdząc, że deputacya Związku ludzi rosyjskich i „Otieczestwiennawo Sojuza“ miała na celu przez uzyskanie audyencyi u Najjaśniejszego Pana stworzyć przeciwwagę deputacyi ziemskiej z dnia 19-go czerwca. Wrażenie mowy ks. Trubeckiego było zbyt silnem, aby wśród jego politycznych przeciwników nie zrodziło się poczucie potrzeby osłabienia tego wrażenia. Zresztą przemowy hr. Bobrynskiego i Naryszkina zawierają ustępy, skierowane wprost przeciwko przemówieniom pewnych osób, którym prasa przypisuje znaczenie głosu całej Rosyi ziemskiej i Rosyi myślącej.

„Nie wątpimy, że oświadczenia deputacyi 4 lipca „dyszą szczerością i żywem uczuciem patryotycznem“. Każdy po swojemu kocha swój kraj i po swojemu życzy mu dobra i rozkwitu. Ale znajdujemy zgoła nieuzasadnione twierdzenie, że wybory bezstanowe wysuną na czoło ludzi, „których Rosya tak dobrze zna z ich działalności burzącej“. Doświadczenie Zachodu wskazuje, że przedstawiciele najskrajniejszych teoryi, w zgromadzeniu przedstawicielskiem pozostają pod wpływem pokojowej atmosfery porządku i prawa, będąc jednocześnie przeszkodą dla rozigrania się wstecznictwa najbardziej zachowawczych a wpływowych grup. Natomiast w odosobnieniu, pozostawieni sami sobie, przeprowadzają oni swe przekonania na drodze nielegalnej, podżegając coraz w kraju ducha niechęci i fermentu.

„Instytucye przedstawicielskie Europy są luftami, a nie zasuwami, i pod tym względem działają dla pewnych warstw społecznych bardziej powściągająco niż represalie. Zresztą, jeżeli „Nowoje Wremia“ i jego wyznawcy są przekonani, że obawy ich podziela ogromna większość narodu, to nie mają się czego bać wyborów bezstanowych. Wola narodu, ceniącego „osobliwość bytu rosyjskiego“, znajdzie swój wyraz jedynie w wolnych od wszelkich wpływów ubocznych wyborach. Wszelkie zaś filtrowanie przedstawicieli przez sito stanowe lub cenzusowe doprowadzi tylko do wystąpienia przedstawicielstwa, mało posiadającego wspólnego z wolą narodu.

Te same zasady, które każą „Now. Wrem.“ staczać walki o wybory stanowe, powodują także wysławianie idei państwa nacyonalnego. Wszak wobec przygniatającej większości ludu rosyjskiego, nie może być wątpliwości, że w przyszłym przestawicielstwie jego to głos otrzyma naturalną i faktyczną przewagę. Niema więc potrzeby specyalnemi środkami zabezpieczać tę przewagę.

Za to niezmiernie jest niebezpiecznem i nietaktownem podkreślać ideę państwa nacyonalnego w chwili, gdy namiętności narodowe są naprężone i przybierają tam i owdzie cechy zatargu wewnętrznego.

Tymczasem sama idea rusyfikacyi robiłaby większe postępy w znaczeniu kulturalnem, gdyby szerzyła się bez musu administracyjnego, tylko na drodze wykształcenia, przekonania i pokojowej asymilacyi. Takie drobne narodowości, jak Żydzi, Ormianie i Gruzini, niewątpliwie ciążą do kultury rosyjskiej i proces asymilacyi obywatelskiej, ekonomicznej i politycznej (naturalnie — nie narodowościowej) byłby dawno skończony, gdyby odbywał się wśród wolnościowych form społecznych.

Obecnie czas jest, aby Rosya nadała tej wielkiej sprawie braterstwa i solidarności narodowościowych ton normalny i bezbolesny. możliwy tylko przy ustanowieniu państwa praworządnego, tego stanowczego i nieprzejednanego przeciwieństwa nacyonalnego”.

Wrzenie na Kaukazie wciąż potężnieje po ogłoszeniu stanu wojennego jeszcze się bardziej wzmogło jak świadczy o tem *Ruskoje Słowo* w doniesieniach z Tyflisu:

„Odbywają się tu codziennie zgromadzenia na górze Dawida, liczące po kilka tysięcy osób. W różnych dzielnicach miasta rzucono w ostatnich dniach kilkanaście bomb w kozaków i policyantów. Raniono wielu przechodniów.

Wieczorem, d. 10 b. mi, tłum udał się do więzienia Metechskiego w celu uwolnienia aresztantów, powstrzymany jednak został przez wojsko, w które z poblizkiego domu rzucono dwie bomby. Jest wielu zabitych i ranionych. Tych, którzy rzucili bomby, nie udało się pochwycić. Strzelając do policyantów, zdążyli oni zatarasować się w domu, który otoczono kordonem wojska.

Wojska biją się z tłumem. Po mieście krążą gęsto patrole.

Emigracya ormian z gubernii erywańskiej, która w ostatnich czasach przybrała wielkie rozmiary, ustaje. W Erywaniu miejscowa ludność ormiańska nie pozwala opuszczać miasta swoim współrodakom, aby nie powiększać paniki. Zewnętrznie porządek zaczyna wracać, ale nastrój w dalszym ciągu jest nadzwyczaj trwożny i lada chwila grozi wybuchem.

Nowa gazeta tatarska, wychodząca w Baku, *Gejat*, drukuje zupełnie otwarcie najzupełniej fałszywe korespondencye z Erywania, podburzające Tatarów przeciw Ormianom. Według wiadomości z Baku, sytuacya staje się tam coraz bardziej groźną i naprężonę. Przemysłowi grozi upadek zupełny”.

KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. Ministeryum komunikacyi rozpatruje projekt ubezpieczenia, na wypadek utraty zdrowia lub kalectwa, studentów wyższych zakładów naukowych, praktykujących na kolejach.

— Mieszkający w Moskwie generał, Alfons Szaniawski, złożył na ręce prezesa Katolickiego Tow. Dobroczynności 40,000 rb. na budowę gmachu czytelni i biblioteki polskiej.

— Komisya do spraw żydowskich ma się zebrać w ciągu września.

— W sierpniu zbiorą się przedstawiciele ministeryum spraw wewnętrznych, skarbu i sprawiedliwości w celu rewizyi przepisów, dotyczących udzielania pozwoleń na otwarcie drukarni i litografii oraz kontroli nad niemi. Do rady zaproszeni będą przedstawiciele drukarzy i litografów.

— W niektórych gminach pow. włocławskiego zawieszono nowe tablice przydrożne w dwóch językach.

— *Warsz. Dn.* donosi: „W ostatnich czasach mieszkania więcej zamożnych Warszawian obchodzą jakieś osobniki, podający się za przedstawicieli „warszawskiego komitetu robotniczego“ i pod naciskiem gróźb zbierają datki na robotników ranionych. Po otrzymaniu datku, poborcy owi wydają kwity z pieczątką „W. K. R.“ Jednego z takich poborców onegdaj policya aresztowała i okazało się, że jest nim złodziej pobytowy.

— Do pism rosyjskich donoszą z Libawy, że przy rewizyi arsenału okazał się brak kilku tysięcy karabinów i 50,000 nabojów. Podczas śledztwa wyjaśnione zostało, że zarówno ruch w Libawie, jak i w Odesie był zawczasu przygotowany przez komitety rewolucyjne.

Rozruchy. Na ulicach w Białymstoku rozlepiono ogłoszenie gubernatora, zalecające mieszkańcom niezakłócanie spokoju i porządku, nieurządzanie tłumnych zebrań, zamykanie wieczorem okien i balkonów.

— „Książę Potemkin“ opuściwszy wody Odesy, przybył nakoniec do portu rumuńskiego, Konstancy, i tu oddał się władzom rumuńskim. Majtków powysyłano do różnych miejscowości w Rumunii. Nie będą oni wydani Rosyi. Pancernik został zwrócony flocie rosyjskiej.

Zamachy. Dnia 16 lipca na stacyi Praga Nadwiślańska, podczas przejścia pociągu zabity został wystrzałem żandarm, stojący na peronie, podoficer Sałdokow. Sprawca zabójstwa niewiadomy.

— Dnia 11 b. m. w Moskwie podczas przyjęcia urzędowego zabity pięcioma wystrzałami z rewolweru naczelnik miasta, hr. Szuwałow. Zabójca ma lat 35, jest zesłańcem politycznym, zbiegły zbiegłym z Syberyi, nazywa się Kulikowski; był nauczycielem ludowym.

— Dnia 17 lipca, starszy dozorca rewirowy A. Gołębiowski, przechodząc wieczorem ulicą Pańską, otrzymał trzy ciężkie rany postrzałowe. Sprawca nieujęty. Dnia 16 lipca na ulicy Karmelickiej zabity celnym strzałem w głowę przez nieznajomego, który oddalił się spokojnie, Stanisław Drzewiecki, lokaj profesora uniwersytetu Nieznamowa. Drzewiecki prowadził się zagadkowo i nie cieszył się dobrą opinią.

Bezrobocia. Maglarze warszawscy urządzili bezrobocie i postanowili pobierać nadal opłatę za maglowanie nie od wałka, lecz od funta bielizny 1 grosz, a 2 grosze, jeśli sam maglarz maglować będzie.

— Strajk budowlany we Lwowie wywołuje w dalszym ciągu niepokoje. Pracodawcy nie chcą przyjąć warunków robotników.

— W Stanisławowie, w Galicyi, robotnicy kolejowi w liczbie 1000 urządzili demonstracyę z powodu nieudzielenia należącej się im zwyżki 20 halerzy dziennie co dwa lata.

— Dnia 11 b. m. w Mińsku guber. wybuchło bezrobocie ogólne, urządzone, jak mówiono, w celu uczczenia pamięci niewinnie poległych w Łodzi i Odesie — przyszło jednak do starcia tłumu z wojskiem, które strzelało z początku ślepymi, w końcu ostrymi nabojami. Aresztowano 180 osób. Tejże nocy rzucono bombę pod dom gubernatora, skutkiem czego kilka osób uległo poranieniu. Dnia następnego padł na ulicy, ugodzony kulą kozaka, szewc żyd. Gubernator kazał rozlepić wezwanie do porządku i zakaz zbiegowisk na ulicach. Dzień 13 b. m. przeszedł spokojnie.

— W dzielnicy Nalewkowskiej ciągle praktykują się w sklepach chwilowe bezrobocia, trwające po parę godzin. Właściciele starają się zapobiedz dłuższym strajkom, czyniąc zadość żądaniom pracowników.

— Czeladnicy masarscy zaprzestali strajkować. Majstrowie zadośćuczynili ich żądaniom. — Zawiesiły pracę pracownice wielu magazynów strojów kobiecych oraz pracownicy w fabryce mydeł Pulsa.

Sprawy szkolne. Urząd starszych kupiectwa warszawskiego, na żądanie przedstawicieli tego stanu, wypracował memoryał do ministeryum skarbu o zaprowadzenie w szkołach, utrzymywanych przez kupiectwo, wykładów w języku polskim.

— Do egzaminów wiosennych w uniwersytecie warszawskim przystąpiło 15 studentów, w tej liczbie 12 prawników i 3 przyrodników. Medycy, filologowie i matematycy wstrzymali się zupełnie.

— Senaty politechnik niemieckich uchwaliły ograniczyć liczbę przyjmowanych studentów cudzoziemców. „Obostrzenie — jak pisze jeden z dzienników magdeburskich — skierowane jest przedewszystkiem przeciw zalaniu wyższych szkół niemieckich przez studentów Rosyan i Polaków“.

Prasa. Pan Korwin-Milewski otrzymał pozwolenie na wydawanie w Wilnie gazety w języku polskim.

— Publicyście rosyjskiemu, korespondentowi *Rus. Słow.* z teatru wojny, Niemiryczowi-Danczenko Bezobrazow i syn Plewego wytaczają proces za artykuły.

Wiadomości ekonomiczne. Właściciele sklepów mydlarsko-nafciarskich, zebrawszy się w Muzeum Przem. i Rolnictwa, postanowili zrzeszyć się w stowarzyszenie spożywcze i otworzyć własny skład hurtowy, ażeby w ten sposób uwolnić się od wyzysku hurtowników.

— Widoki urodzajów w Rosyi europejskiej przedstawiają się następująco: pszenica ozima lepiej, niż średnio, jara średnio, żyto mniej, niż średnio, owies i jęczmień więcej, niż średnio. W ciągu ostatnich trzech tygodni widoki te pogorszyły się w niektórych guberniach.

— Podług obliczeń urzędowych straty, jakie poniósł urząd akcyzy podczas ostatnich zaburzeń łódzkich, wynoszą 33,000 rb.

Komunikacye i drogi. Zamierzoną rewizyę ustawy dróg komunikacyi odłożono na czas nieokreślony.

— Kolej Warsz. Wiedeńska wydała rozporządzenie, ażeby wszelkie ogłoszenia na dworcach, w wagonach, napisy na biletach były drukowane w języku polskim i rosyjskim. Jednocześnie służbie kolejowej zalecono porozumiewanie się z publicznością w języku polskim, mianowicie z temi osobami, które po polsku do nich się zwrócą.

— Jedna z handlowych firm warszawskich wniosła do ministeryum komunikacyi skargę na kolej nadwiślańską, za odmowę umieszczenia ogłoszeń w języku polskim w wagonach i na stacyach. Zarząd żandarmeryi, do którego ministeryum zwróciło się z zapytaniem, odpowiedział, że zakaz używania napisów polskich w ogłoszeniach kolejowych wydany został przez generał-gubernatora Hurkę i do tej pory nie został odwołany.

— Na kolei łódzkiej wprowadzono język polski do czynności wewnętrznych.

Banda opryszków, grasująca w okolicach Zawiercia i będąca postrachem tamtejszych mieszkańców, została rozbita. Wraz z jej hersztem, Janem Krwawnickim, zbiegłym z Sachalinu, ujęto 16 rabusiów.

OFIARY.

Dla uczczenia pamięci K. Krauza, na cel najbardziej przez niego umiłowany, według uznania najbliższych przyjaciół zmarłego, rb. 25, W. Kozierowska z Rutczenkowa.

Na głodnych bezimiennie z Weisenszteina 5 rb.

Do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego urzędnicy zakładów Dnieprowskich w Kadijewce 127 rb., kółko Polaków z kopalni Zyłowskiej 35 rb., inżynier Kiślański z kopalni Żyłowskiej 10 rb.

Do rozporządzenia Wacława Sieroszewskiego kółko Polaków z Odesy 150 rb.

Sprostowanie. W Nr. 25, str. 297 szp. 1, wiersz 8 od góry, zamiast *przedmiotem fizyologii* powinno być *przedmiotem filozofii*; w szpalcie 2, wierz 11 od dołu zamiast *pheonema*—*phronema*.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 7 Іюля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.